Nr. 33. Warszawa, dnia 5 (18) Sierpnia 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Jang-tsun i Waldersee.

W chwili, kiedy tutaj przewidywano rozpoczęcie pochodu Europy na Pekin dopiero w początku września, sekretarz parlamentarny rządu angielskiego, Brodrick, zawiadamiał Izbę gmin, że pochód rozpoczął się d. 4 b. m. Czy tylko jest to rzeczywiście pochód, wyprawa, mająca dotrzeć do Pekinu i zdobyć jego część przynajmniej najniezbędniejszą—pałac z katedrą, misyą i poselstwami, i czy jej siłę, według obliczeń specyalnego *Militarwochenblattu*, nieprzenoszącą 18,000 ludzi, można było uznać za wystarczającą, nie do zrobienia próby, ale do spełnienia czynu? Postęp dalszy pokaże. Nie było go od 6-go b. m. Zająwszy d. 5 Peitsang, o jakie półtrzeciej mili od Tientsinu, pomknąwszy nazajutrz pod Jang-tsun, leżący już o przeszło mil sześć, armia związkowa, jeśli ją „armią“ nazwać wolno, utknęła w drodze i z wyjątkiem ruchów rozpoznawczych nie dokonała niczego do pierwszych dwóch dni bieżącego tygodnia. Gdyby były działania, byłby i telegram, a telegramu gazety środowe warszawskie nie podały. Cały tydzień zatem trwały wypoczynki, niepewności, namysły, a może i nieporozumienia.

Dotychczas nie napotkano i nie potrzebowano też przełamywać wielkich przeszkód. Opór Chińczycy stawili tylko pod Pei-tsangiem d. 5 b. m., bo tu tylko zapewne mieli stanowisko obronne, bez walki w otwartem polu utrzymać się dające. Opierali się zrazu dobrze, przez siedem godzin wytrzymali ogień działowy, ale potem nie odważyli się przyjąć szturmu, uprzedzili oskrzydlenie odwrotem. Pozostawienie 30 dział, choćby pozycyjnych, dowodzi, co najmniej, niezaradności. Nie widać ze sprawozdań, aby rozdzielili swe siły dla odciągnięcia napadu od celu, dla rozdzielenia i osłabienia sił nieprzyjacielskich; zbrakło im albo strategicznego rozumu, albo żołnierza. Pod Jang-tsunem poszło jeszcze gorzej: tu nie było nawet obrony; pozycyę zajęli Europejczycy prawie bez walki. W uczciwem rozpatrywaniu działań bliższem jest zawsze domniemanie przyjaźniejsze dla działającego: tutaj domniemywać się potrzeba raczej słabości sił, niż rozumu. Liczba 25,000, dawana Chińczykom, wydaje się wygórowaną. Ale zatrzymanie się Europejczyków w Jang-tsunie, bezczynność całotygodniowa, mogą być skutkiem nietylko nieporozumień i sprawiania szyków, rozpadających się wskutek wzajemnych zawiści — natura ludzka! — ale też i pojawienia się na widowni wojennej jakiegoś znaczniejszego oddziału chińskiego na południu i zachodzie, na tyłach lub od lewego boku. Znaczna liczebna przewaga jakichś 30,000 Chińczyków mogłaby istotnie zmienić wyprawę gorączkowo podjętą w wielki, a nie zupełnie pomyślny rekonesans.

Obliczenie *Militärwochenblattu*, oparte na świadectwie amerykańskiego generała Chaffee, daje załodze Tien-tsinu tylko 6,000. Już przeciwko powstaniu wewnętrznemu, przy ogromie miasta, jest to siła za mała i poprzestanie na niej było do pewnego stopnia hazardem. Wiadomo, że Chińczycy myśleli o odzyskaniu straty z d. 14 lipca, że cesarzowa czy cesarz, czy Tuan wydał nawet dekret, nakazujący odebranie Tien-tsinu: może więc nagle od Tsin-hai-tienu nadciągnął jaki znaczniejszy oddział chiński i grożąc Tien-tsinowi, zagroził też i samej wyprawie. Nawet przy największem zniżeniu liczebności wojsk chińskich, zdolnych do boju, po europejsku zorganizowanych, a znajdujących się na północy, przewidywać należy wystąpienie flankowe, dla każdego wodza i dla każdego pochodu niezmiernie przykre, bo zmuszające do zmiany frontu i biorące przeciwnika we dwa ognie. W każdym razie do Pekinu wzdłuż kolei, która opuszcza Pei-ho pod Nan-tsai-tsunem o jakie dwie mile na północ od Jang-tsunu, zostaje jeszcze mil mniej więcej 17: na niespodzianki przygotowanem być musi dowództwo wojsk związkowych tak, aby one dla niego niespodziankami nie były. Nie wystarczy posuwanie się drogą do Pekinu po nad Pei-ho: potrzeba będzie zająć i kolej, która po rozwidleniu się w owym Nai-tsai-tsunie daleko od drogi i rzeki odbiega w kierunku silnie zachodnim, gdy linia pochodu ma przeważnie północny. Na takie opanowanie pola wojennego, niezbędne przy poważnem działaniu, korpus 18,000-ny, bądź co bądź osłabiony przez straty i etapy, sił w sobie nie znajdzie.

Niespodziankę na widowni europejskiej urządził cesarz niemiecki w Wilhelmshöhe: zamianował głównodowodzącym wojskami związkowemi w Chinach swego generała Waldersee, naczelnika trzeciej inspekcyi wojskowej w Hanowerze. Jest to ten sam Waldersee, który bywał już dowódcą różnych korpusów, jedną z *bête noire* Bismarcka. Mianując go, przedewszystkiem chciał mieć w nim wodza dla wojsk trójprzymierza, bardzo dotychczas szczupłych, bo Włochów i Austryaków prawie dojrzeć niepodobna, tak drobne wytwarzają plany na mapie kwatermistrzostwa związkowego. Tu Wilhelm II mógł i bez porozumienia się zrobić co chciał; ale po za trójprzymierzem powinien był mieć wyraźne pozwolenie, a doniesienia niewątpliwe przekonywają właśnie, że Anglia zgo-

dziła się na jego kandydata dopiero w kilka dni po nominacyi, Francya zaś dotychczas nie dała mu jeszcze dyplomatycznego *placet*. Przypuszczać, że cesarz działał bez zgodzenia się Rosyi, niedodobna; a to samo daje już i pewną osłonę od Francyi, która, mimo niezadowolenia opinii, dla Rosyi zrobi to, czegoby nie zrobiła dla Niemiec. W każdym razie nominacya będzie miała znaczenie tylko teoretyczne, jeżeli wyprawa obecna, już podjęta i mająca już dowódcę, generała Leniewicza, nie okaże się jedynie tylko rekonesansem — wielkim a niepomyślnym. W razie powodzenia Waldersee nie będzie miał co robić jako dowódca wojsk sprzymierzonych, czy związanych wspólnością celu. Zanim dojedzie do Chin, Pekin już będzie zajęty bądź od północy, bądź od południa. Właściwem powołaniem nominata będzie podbój prowincyi Szantuńskiej, rozpostarcie się z Kiao-czau ku Hoang-ho.

SPRAWA MISYONARZY W CHINACH.

(Dokończenie).

Obok strony politycznej, którą staraliśmy się wyjaśnić w artykule poprzednim, na uwagę zasługuje strona obyczajowo społeczna kwestyi misyonarzy.

Nikt nie zaprzeczy, że misyonarze pod niektórymi względami zdziałali wiele dobrego. Misyonarze anglikańcy np. rozwinęli energiczną działalność przeciw nałogowi palenia opium; katolicy urządzili w wielu miastach portowych wzorowe szpitale i wogóle z zapałem się siebie uprawiają miłosierdzie. Jednakże o znacznym wpływie kulturalnym dotąd nie może być mowy.

W stosunkach z klasą oświeconą ogromną przeszkodą zdaje się być mało wykształcenie misyonarzy i zapewne nie bez ich winy (jak donosił misyonarz Edkins na konferencyi misyjnej w r. 1890) w literaturze chińska najnowsza znalazła się w posiadaniu mnóstwa pamfletów, drwiących z „przesądów" chrześciańskich. Należy bowiem pamiętać o tem, że filozoficzne i metafizyczne kwestye zajmowały uczonych chińskich już w czasach, kiedy Europa była krajem surowych barbarzyńców, że w dyalektyce Chińczycy, jak wogóle ludy wschodnie, są mistrzami. W dodatku tłomaczenia Biblii są podobno częstokroć zgoła bezsensowne.

Tak więc wskutek właśnie wysokiej kultury chińskiej a niskiego poziomu kulturalnego większości misyonarzy obok nienawiści politycznej powstało u klasy panującej w Chinach pogardliwe lekceważenie misyonarzy, a tem samem Europejczyków wogóle.

Co do tłumu ludu, to faktem jest, że w bardzo wielu wypadkach nie zapał religijny powoduje przyjęcie chrześciaństwa. *Pall Mall Gazette* umieściła artykuł, którego autor cytuje zdanie barona Kettelera, ambasadora niemieckiego, zamordowanego niedawno w Pekinie: „Bardzo rzadko Chińczyk lepszego stanu i cieszący się dobrą sławą wchodzi w stosunki z misyonarzami. Tylko paryas społeczny i zbrodniarz zwykle ucieka się do protekcyi cudzoziemców i zwykle opłaca ją gotówką, podobnie jak w Turcyi i Marokko, gdzie do niedawna jeszcze niżsi urzędnicy ambasad i konsulatów w sojuszu z lichwiarzami urządzali sobie proceder z tej protekcyi. Jeżeli zaś Chińczyk nie ma jej czem opłacić, zwraca się do misyonarza i udaje wielką gorliwość dla religii, uzyskawszy zaś zaufanie misyonarza, opowiada mu bajeczkę, że ziomkowie prześladują go za odszczepieństwo, że wszyscy spiskują przeciw niemu i wplątali go, najniewinniejszego człowieka pod słońcem, w proces; że sędzia okrutny wtrąci go do więzienia, gdzie będzie bity i katowany. Łatwowierni misyonarze aż nazbyt często idą na lep takich dykteryck, tem bardziej, że wiedzą o przekupstwie sądów chińskich. Niestety — mówił Ketteler—bardzo często w taki sposób nierzetelni dłużnicy, pełnomocnicy, dzierżawcy przechodzą na łono kościoła chrześciańskiego, a wtedy wydostają się z pod jurysdykcyi krajowej. Sądzą ich konsulowie, a stąd musi powstać nienawiść śród tuziemców do misyonarzy cudzoziemców wogóle, jak również do neofitów."

Podobne zdanie zdarzyło nam się napotkać niejednokrotnie w opisach stosunków chińskich. Cytowany powyżej autor zwraca uwagę na inną jeszcze stronę kwestyi. Dyplomaci, w celu obrony misyonarzy, postarali się zdobyć dla nich przywileje rozmaite, a przedewszystkiem zmusili rząd chiński do nadania misyonarzom dostojeństw odpowiadających różnym stopniom chierarchii urzędniczej. Wskutek tego zdarza się, że misyonarz, ujmujący się za jakimś przestępcą, występuje wobec sędziego, jako mandaryn wyższego stopnia, a to wystarcza, aby sędzia uwolnił oskarżonego od odpowiedzialności, byle nie narażać się na przykrości, jakie wynikną, jeżeli misyonarz zaniesie na niego skargę, ku czemu ma prawo na za zasadzie właśnie owego wyższego stopnia.

Istnieje wszakże jeszcze powód, wywołujący bezustannie takie zatargi. W prowincyi o ludności rdzennie chińskiej dotąd istnieje władanie ziemi oparte nie na własności osobistej, lecz na rodowej. Dla danego zaś rodu istnieje jako widomy znak współzależności, hołd oddawany wspólnym przodkom; w świątyni też poświęconej pamięci przodków odbywają się zebrania gminy — rodowej, celem rozstrzygnięcia spraw publicznych, a szczególnie spraw tyczących się posiadłości ziemskich. Sprawy zaś te z konieczności są skomplikowane wobec niebywałego rozdrobnienia tych parcel i wobec techniki rolniczej, gdyż w tych właśnie prowincyach rdzennie chińskich uprawa jest tylko możliwą przy pomocy sztucznej irygacyi i całego systemu kanałów i kanalików. Te zaś warunki techniczne muszą prowadzić do powikłanego systemu wzajemnych serwitutów, gdyż posiadacz parceli jest obowiązany do przestrzegania pewnych praw przy używaniu kanału lub kanaliku, przy którym leży jego parcela. Sprawa komplikuje się w dalszym ciągu wskutek bezustannych wędrówek ludności w tych prowincyach. Członek rodu udaje się do miast portowych lub wyjeżdża nawet za granicę, aby pracować jako przekupień lub *kuli*, parcelę zaś swoją wydzierżawia lub oddaje w zastaw za długi; powracając, wszczyna znów sprawę o wykup tej posiadłości, która przeszła już być może w trzecie albo czwarte ręce. Spraw zatem powstaje bez liku i wszystkie rozstrzyga ród, a dopiero w razie niezgody — sąd. Wyobraźmy sobie teraz, że jeden lub kilku członków rodu przyjęło wiarę chrześciańską. Tem sa-

CIENIE CHIŃSKIE.

II.

Tien-tsin.*)

Tien-tsin jest to właściwie dzielnica cudzoziemców w Pekinie. W stolicy Chin niema jeszcze kolonij europejskich. Europejczycy przeto, zmuszeni utrzymywać stosunki z Pekinem i wogóle z Chinami północnemi, osiedli w Tien-tsinie, skąd obecnie można w cztery godziny dostać się do Pekinu. Ze względu na charakter „europejskiego przedmieścia stolicy," posiada Tien-tsin ważne znaczenie polityczne. Europa oddziaływa w Pekinie na rząd chiński za pośrednictwem swych dyplomatów: z tych jednak najbardziej wpływowem okazało się to europejskie miasto, w którem biorą początek znacznie żywsze i bardziej bezpośrednie wpływy. To też w Tien-tsinie stanęła między Europą a Chinami niejedna rozstrzygająca o przyszłości umowa. W okresie między r. 1874 a 1894 miasto to było poprostu ogniskiem zewnętrznej polityki Chin, zwłaszcza w tym czasie, kiedy Li-Hung-Czang urzędował tam na stanowisku wicekróla. Obecnie środek ciężkości polityki zewnętrznej spoczywa znowu w Pekinie. Zdaje się, że Pekin traci coraz bardziej na swej odrębności i zamknięciu. Gdyby z czasem pozwolono cudzoziemcom mieszkać w głównem mieście, to równałoby się to ciężkiemu ciosowi dla Tien-tsinu.

Tien-tsin jest jednocześnie twierdzą graniczną dla chińskich prowincyj Szansi, Czili, Honanu, w części również dla Szantunga, a nawet i dla Mongolii i Mandżuryi. Rozległe to obszary są ważne jako miejsca zbytu dla produktów europejskich i jako źródła wywozu chińskiego. Nie należy bowiem mniemać, jakoby handel chiński polegał jedynie na wywozie. Chiny kupują od Europy, podobnie jak Europa kupuje od Chin. W miarę jak państwo otwiera swe podwoje, powiększa się i popyt Chińczyków na produkty europejskie. W Tien-tsinie, w Szang-haju, w Hongkongu itd. mają kupcy w swych biurach całe składy prób handlowych dla klientów chińskich. Nawet niemiecki komiwojażer zaczyna się ukazywać w Chinach, rozwijając swą szumną wymowę w hotelach i przy *table d'hote*'ach. Chińczycy są dobrymi odbiorcami i wzorowymi płatnikami. Kupcy chińscy otrzymują kredyt od firm europejskich do wysokości bardzo znacznych. Zazwyczaj nie zawiera się umowy piśmiennej nawet przy bardzo wysokich obrotach; wystarcza zupełnie „słowo." Panuje tu zaufanie wzajemne, o jakiem trudno marzyć w stosunkach między Europejczykami, przyczem niema strat, ani rozczarowań.

Główny przedmiot wywozu stanowią tu surowe produkty północno-chińskie, przeważnie mongolskie. Tien-tsin wywozi przedewszystkiem wełnę (wielbłądzią, kozią i owczą), dalej skóry, plecionki ze słomy z Honanu i Szan-tungu itp. Polityczne położenie Tien-tsinu jednak pociąga i to za sobą, że kwitną tam dostawy rządowe, mianowicie dostawa broni. Operacye takie dają kolosalne zyski w porównaniu do powolnych lecz pewnych zarobków, jakie przynosi prawidłowy i zwykły handel towarowy; „broń" stanowi coś w rodzaju kopalni złota. Miliony można zdobyć wyłącznie na tem polu i chińscy nababowie zawdzięczają swe majątki przeważnie takim interesom. Tajemnica robienia „takich" milionów polega poprostu na tem, ażeby rządowi chińskiemu wkręcić możliwie bezwartościowy towar za możliwie drogie pieniądze. Najprędzej można to uskutecznić właśnie przy dostawach broni, chiński rząd bowiem rozumie się na jej wartości mniej jeszcze, niż na innych przedmiotach europejskich. Kto chce przy tym interesie

*) Paul Goldmann: *Ein Sommer in China*. 1899.

mem nie mają oni możności brać udziału w owych wiecach rodowych, gdyż te mają zarazem charakter religijny, odbywają się w świątyni i są związane z obrzędami religijnymi, z kultem przodków. Jest więc gotowy powód do zatargu pomiędzy neofitą a rodem całym, do którego należał. Trzeba nawet przypuszczać, że właśnie celem wyłamania się z pod władzy rodu, jednostki przyjmują chrześciaństwo. Skoro zaś został wszczęty spór, wtrąca się doń misyonarz, przyczem powtarzają się zajścia, o jakich wspomniano wyżej: misyonarz prowadzi proces swych owieczek. Jasnem więc jest, że ród, który słusznie czy niesłusznie sarka na wyrok zapadły, będzie pałał nienawiścią do neofitów i ich opiekunów.

Odzywają się też głosy, sprowadzające wybuch obecnego ruchu do takiej właśnie przyczyny. Misyonarz, George Owen, w *Pall Mall Gazette* mówi np. o ogólnem wzburzeniu umysłów, wywołanem zajęciem Kiau-Czau i Wei-hai-Wei, a potem dodaje: „Do tego wzburzenia umysłów przyczyniło się też kilka procesów pomiędzy misyonarzami francuskimi i niemieckimi a ludnością krajową. Wygrali oni procesy, nie wiem czy słusznie, czy niesłusznie, lecz wiem, że wywołało to wielkie rozgoryczenie.“ Owen dodaje, że nie miałoby to wzburzenie wielkiego znaczenia, gdyby rząd i mandaryni zechcieli trzymać w karbach ludność, lecz w Pekinie pod wpływem cesarzowej matki rozwielmożniło się stronnictwo wrogie dla cudzoziemców.

Nie ulega kwestyi, że zabobony ludowe powodują również wykroczenia przeciw Europejczykom. Tak np. tłum oskarża misyonarzy, że wabią oni chorych do szpitali swoich tylko w tym celu, aby wyłupić im oczy, gdyż oczu tych używają w swoich aparatach fotograficznych. Podobne zabobony dały powód do wyrznięcia w r. 1870 misyonarzy i sióstr miłosierdzia w Tien-tsinie. My, Europejczycy, w każdym razie nie mamy powodów unosić się szczególnie nad takimi objawami ciemnoty, skoro u nas odbywają się do dziśdnia hece antiżydowskie, powodowane impulsami zabobonnego tłumu. Zresztą nietylko tłumu; wszak dopiero przed kilku tygodniami w sejmie pruskim jakiś junkier chciał wnieść interpelacyę w celu urządzenia ankiety państwowej nad kwestyą: czy Żydzi używają krwi chrześciańskiej do praktyk rytualnych; autor zaś niniejszego miał możność przekonania się, że nawet śród studentek medycyny bywają takie, które wierzą, że Żydzi placek wielkanocny (macę) pieką z krwią ludzką. Przesąd chiński odznacza się przynajmniej pewną fantazyą w porównaniu z zabobonem europejskim.

Oczywiście błędem byłoby sprowadzać obecne rozruchy rewolucyjne w Chinach do samej tylko kwestyi misyonarskiej. Przeciwnie, nie może ulegać kwestyi, że mamy tu cały szereg przyczyn natury ekonomicznej i politycznej. Nawałnica kapitalistyczna, jaka runęła na Chiny po wojnie japońskiej, spowodowała zamęt ogromny. Przeprowadzenie linij kolejowych, a zwłaszcza otwarcie rzek spławnych dla parowców europejskich, pozbawiło pracy setki tysięcy ludzi, zajętych dotąd przy transporcie wobec pierwotnych środków, wymagających ogromnej ilości rąk roboczych. Liczne fabryki tkacko-przędzalnicze, które poczęły wyrastać jak grzyby po deszczu, pozbawiły zarobków tysiące tkaczów ręcznych. W dodatku, jak donoszą, nieurodzaj w północno-wschodnich prowincyach sprowadził drożyznę. Te więc przyczyny mogły spowodować wrzenie w masach ludowych, a stronnictwo przy dworze, wrogie Europejczykom, w celach partyjnych i politycznych nadało ruchowi kierunek, wydając hasło: „Precz z barbarzyńcami!“ Lecz że hasło takie z łatwością mogło podziałać na tłumy, do tego przyczyniły się bez wątpienia stosunki, które wyłoniła z siebie sprawa misyonarzy.

W prasie europejskiej, a zwłaszcza niemieckiej, poczęto krzyczeć o „zemstę“ na Chińczykach, i jakiś dziennik podał już gotowy plan zemsty przykładnej. Trzeba, powiada pismak, po zdobyciu Pekinu zburzyć groby rodziny cesarskiej, co byłoby dla Chińczyków najokrutniejszą rzeczą, jaka stać się może pod słońcem. Wogóle Europa chrześciańska chwilami zdaje się teraz przemieniać w obóz czerwonoskórych. Po Kiau-czau wygląda to, przyznać trzeba, nieco dziwnie.

Cesarz niemiecki, dowiedziawszy się o zabiciu posła, mówił o „zbrodni niesłychanej bezecnością, budzącą zgrozę okrucieństwem.“ Można zrozumieć uniesienie mówcy, jak wiadomo bardzo impulsywnego, lecz po zimnem rozważeniu przypomnieć należy, że zabicie posła, „zbrodnia niesłychana bezecnością, budząca zgrozę okrucieństwem,“ miała miejsce w naszej chrześciańskiej Europie nie tak znów dawno. W r. 1799 wybuchła wojna pomiędzy Austryą a Rzecząpospolitą francuską; posłom francuskim, Bonnier d'Arco, Roberjot i Jean Debry, bawiącym wówczas w Rastatt na „kongresie pokojowym,“ kazano wyjechać; prosili komendanta miasta o konwój, lecz nie otrzymali odpowiedzi, tylko ponowny nakaz wyjazdu. Pojechali zatem wieczorem tegoż dnia bez konwoju i zaraz po opuszczeniu miasta zostali osaczeni przez oddział huzarów, należący do korpusu komendanta. Huzarzy poczęli rąbać posłów szablami: Bonnier i Roberjot zostali zabici, Debry ciężko raniony ukrył się w rowie, skąd przywieziono go do Rastatt i wyleczono. Husarze obszukali powozy i zabrali papiery, jakie znaleźli. Czy zbrodnia ta, dokonana z zimną krwią, mniej jest ohydną od pekińskiej? Chrześcianie Europejczycy mają zatem wszelkie powody pamiętać przedewszystkiem o plamach krwawych własnej historyi.

Dr. J. B. Marchlewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

Nowoje Wremia o języku rosyjskim. — *Moskowsk. Wied.* o państwowości rosyjskiej i kresach zachodnich.

Manifest Najwyższy z dnia 7 czerwca o stopniowem wprowadzaniu języka rosyjskiego do czynności kancelaryjnych w instytucyach administracyjnych finlandzkich wywołał mnóstwo uwag w prasie rosyjskiej.

Między innemi na zaznaczenie zasługuje artykuł *Nowego Wremi*: „Język jest zasadniczem, najjaskrawszem i wyraźnem ujawnieniem się narodowości. Rozmaitość języka odosobnia, rozłącza narodowości, gdy tymczasem wspólna mowa jest najpotężniejszym środkiem do zbliżenia się i wewnętrznego połączenia. Jest tedy rze-

coś zyskać, wyczekuje odpowiedniej chwili (jaką była np. wojna chińsko-japońska), przyczem musi posiadać dokładną znajomość stosunków, mówić o ile możności po chińsku, musi umieć zawiązać stosunki z mandarynami, nie mieć skrupułów i jeżeli zajdzie potrzeba, umieć chodzić krętemi drogami. Koszty prowadzenia interesu są też znaczne. „Towar“ kosztuje naturalnie najmniej, w przeciwstawieniu do tego „przyjaźń“ pewnych mandarynów jest sprawą nader kosztowną. Im wyżej sięgają wpływy mandaryna, tem, rzecz prosta, kosztuje drożej; jeżeli zaś przytem jest on *uczciwy*, trzeba mu wtedy opłacać się ogromnemi pieniędzmi. Nic nie podnosi tak ceny przekupstwa, jak *uczciwość* przekupionego. Ostatnimi czasy ceny poszły olbrzymio w górę. Współzawodnictwo dostawców jest zaciekłe i mandaryni nie są zmuszeni za byle co ofiarować swej przyjaźni. Dawniej bywało lepiej. Urzędnicy zadawalali się nieraz bodaj udziałami w zyskach. Teraz wymagane jest natychmiastowe uregulowanie rachunku.

Oto jak zawiera się podobną tranzakcyę. Kupiec dowiaduje się np. za pośrednictwem utrzymywanych w Pekinie szpiegów, że rząd chiński zamierza nabyć karabiny. Ma on właśnie na składzie dziesięć tysięcy starych, wysortowanych pruskich, za które płacił po marce. Udaje się tedy do odnośnego urzędnika i ofiaruje swój towar.

— Jaka cena? — pyta urzędnik.

— Ze względu na naszą starą przyjaźń, oddam je panu po dwadzieścia marek za sztukę. Ale i dla bata warte byłyby trzy razy tyle.

— Przychodzi pan za późno — brzmi odpowiedź.— Dopiero co kupiłem dziesięć tysięcy angielskich. Płacę tylko po dziesięć marek za sztukę i za dziesięć dni będą tutaj.

— Ależ i ja nie żądam drożej. Pozostałe dziesięć marek są udziałem przyjaźni. Przypomina pan sobie słowa Konfucyusza: „Prawdziwą przyjaźń poznaje się w sprawach pieniężnych.“ Sądzę więc, że z ceny każdego karabinu pięć marek należy się panu, pozostałe pięć znajdą może odbiorcę w osobie jednego z pańskich kolegów. Koszt tedy pozostanie bez zmiany, zysk zaś rządu chińskiego tkwi w tem, że otrzyma pan karabiny, za których pomocą Prusy wygrały wszystkie swoje bitwy.

Urzędnik chiński jest patryotą i uważa sobie za obowiązek umożliwić Chinom również wygranie wszystkich bitew.

W życiu handlowem Tien-tsinu najwyższą rolę grają firmy niemieckie. Na każdym kroku można tu stwierdzić potężne stanowisko, jakie kupiec niemiecki potrafił zdobyć w handlu chińskim.

Kolonia niemiecka w Tien-tsinie administrowaną jest przez towarzystwo prywatne; miasto zastrzegło sobie jedynie najwyższy dozór. Towarzystwo to bierze na swój koszt urządzenie terytoryum kolonii (przeprowadzenie ulic, budowę bulwarów itp.), sprzedaje place pod budowę domów, z których to dochodów pokrywa koszty i ściąga zyski. Prawo osiadłości nabyły Niemcy dopiero niedawno; niemieccy mieszkańcy Tien-tsinu przeto osiadali dotąd w obrębie koncesyi angielskiej i tam też zapewne nadal osiadać będą, niemiecka „koncesya“ bowiem leży dość daleko od dzielnicy handlowej.

Rzecz szczególna, że im dalej na północ, tem więcej napotykamy Europejczyków, znających język chiński. W Hong-kong nikt prawie nie umie ani słowa tego strasznie trudnego języka, pozbawionego przytem wszelkiego wdzięku do tego stopnia, że trudno obudzić w kimś chęć przyswojenia go sobie. Chyba jeżeli usługujący Chińczyk zbyt wolno się porusza, woła się nań: „czop, czop!“, w kręgielni zaś zapytają go o liczbę wywróconych kręgli: „kito?“ W Szang-haju znaleźć można od czasu do czasu rzadkie wyjątki umiejących po chińsku. W gospodarstwie europejskiem używa się tylko dwóch wyrazów chińskich w stosunku do kuli ciągnącego punkę. Gdy ma zacząć, pani domu rozkazuje: „La

czą zrozumiałą, iż w takiem państwie, jak Rosya, która pod swoim dachem zebrała mnóstwo rozmaitych narodowości, kwestya językowa jest jedną z najbardziej zasadniczych praw polityki praktycznej. Jest to kwestya skupienia i połączenia wewnątrz rozmaitych żywiołów etnograficznych, które weszły do rodziny rosyjskiej i tworzą wraz z nią jedną całość polityczną. Kwestya ta jednak była i jest stawiana bardzo nieśmiało. Nadzwyczaj ściśle rozgranicza się u nas pod względem językowym dzielnice stosunków publicznych i prywatnych; chociaż w stosunkach publicznych dążenie do wspólności językowej przeprowadzane jest więcej lub mniej konsekwentnie, jednak wymagania te nie są zastosowywane w stosunkach prywatnych, skutkiem czego Rosya dotychczas jeszcze jest pstrą mieszaniną nietylko plemion, ale narzeczy i języków. Całe prowincye u nas nietylko piszą i mówią swoimi językami lub narzeczami, ale nawet w stosunkach urzędowych, w których ośrodkiem życia i działalności jest władza państwowa rosyjska i siła państwowa rosyjska, do ostatnich czasów wolno było używać innych języków. Tymczasem jest rzeczą samą przez się jasną, iż w Rosyi językiem państwowym może być tylko rosyjski, nie żaden inny i jeżeli daje się słyszeć niekiedy opozycya przeciw tej niezaprzeczonej, oczywistej prawdzie, to naturalnie nie dlatego, żeby ktokolwiek mógł wątpić o tej prawdzie, lecz tylko dlatego, że swoją uległością w sprawie języka państwowego w stosunkach urzędowych podtrzymywaliśmy złudzenia na to conto i zwiększyliśmy siłę naturalnego przeciwdziałania językowi państwowemu śród obcych żywiołów ludności."

Jako przykład wymowny w tej mierze, gazeta wskazuje Finlandyę. Od chwili przyłączenia do Rosyi gub. Wyborskiej aż do zdobycia całej Finlandyi, język rosyjski zrobił w rzeczonej gubernii znaczne postępy, „bez jakichkolwiek nadzwyczajnych środków ze strony Rosyi." Według zapewnień *Now. Wrem.*, ludność wyborska w ciągu niecałego stulecia zdołała tak dalece się oswoić z językiem rosyjskim, że nie było najmniejszych nieporozumień z ludnością. Ale od czasu przyłączenia gub. Wyborskiej do całej Finlandyi, zdobytej orężem rosyjskim, język rosyjski wychodzi tam z użycia, a natomiast szorzy się najbardziej oryginalna fikcya, jakoby w Finlandyi powinien być państwowym język szwedzki." Nie oponowano temu więcej niż przez pół wieku, chociaż, „jak to wyjaśnia ostatni Manifest Najwyższy, jeszcze z woli Cesarza Aleksandra I postanowiono wprowadzić stopniowo do czynności kancelaryjnych w zarządzie kraju język rosyjski, jako główny." Do jakiego zaś stopnia nie wierzyliśmy sami w słuszność praw języka rosyjskiego w w stosunkach urzędowych finlandzkich, świadczą najlepiej środki przedsięwzięte w szóstem dziesięcioleciu celem zrównania praw języka fińskiego ze szwedzkim. Zamiast jednego języka szwedzkiego, jako państwowego, uznaliśmy w tym charakterze i język fiński i tym sposobem dopuściliśmy do istnienia obok siebie w Finlandyi dwu języków państwowych, byle tylko nie rosyjskiego.

W dalszym ciągu *Nowoje Wremia* na mocy nieubłaganej logiki historycznej dowodzi, że w Finlandyi językiem państwowym może być jedynie rosyjski. Dziś atoli, „po wielu błędach," urzeczywistnisnienie tych dążeń jest trudne. Wielkie znaczenie praktyczne, zdaniem gazety, ma wprowadzenie języka rosyjskiego do czynności senatu. Według statutów, przewodniczącym senatu jest generał-gubernator. „Ale statuty pozostają martwą literą, skoro generał-gubernator rosyjski nie może brać bezpośredniego udziału w czynnościach senatu, załatwianych w języku fińskim lub szwedzkim i rzeczywiście rola generał-gubernatora w tym najwyższym krajowym urzędzie administracyjnym, nadającym kierunek sprawom miejscowym, zeszła do drobnych rozmiarów, chociaż senat finlandzki rządzi niby to łącznie z generał-gubernatorem."

Również o sprawy finlandzkie potrąca *Mosk. Wied.* w osobnym artykule p. t. „Państwowość rosyjska i kresy zachodnie." Autor, powołując się na Ukaz Najwyższy o środkach mających na celu wykorzenienie tajnego nauczania w Królestwie Polskiem, snuje swoje uwagi o podstawach państwowości rosyjskiej: „Obecnie w Finlandyi zastosowano energiczne i, należy się spodziewać, ostateczne środki w celu zaprowadzenia języka rosyjskiego w instytucyach rządowych. W kraju Przywiślańskim również pouczającym faktem jest Najwyższy Ukaz imienny o środkach przeciwko nauczaniu tajnemu. Jest ono jedną z ran kraju Przywiślanskiego. Pod płaszczykiem nauczania jakoby religijnego (rzymsko-katolickiego) lub nauki języka ojczystego, tj. polskiego, tajne nauczanie ma zadanie zupełnie inne: podtrzymywanie tradycyj tej dawnej państwowości polskiej, które nie mogą istnieć w warunkach dzisiejszych..." „Złe tajnego nauczania polega na stawianiu przeszkód rozwojowi śród młodzieży zasad państwowości rosyjskiej."

W dalszym ciągu pismo, polemizując z *Wiestnikiem Ewropy*, powołuje się na prawa historyczne: „My, Rosyanie z XIX i XX wieku nie możemy już żyć swemi zasadami z w. XVII — tem samem wyrzeklibyśmy się swej siły, tego, co nas uczyniło wielkim narodem historycznym i państwowym większym, niż stać się mogły Szwecya i Polska. Dla ludności krajów byłych polskich i szwedzkich, a obecnie rosyjskich, przejęcie się duchem państwowości rosyjskiej stanowi przejście od słabszego do silniejszego, od niższego do wyższego."

Paweł Krzyżanowski.

IX ZJAZD
Lekarzy i Przyrodników Polskich.

Kraków, w lipcu.

II.

U przyrodników.

Z przyrodniczych najliczniejszą, bo około 50 uczestników liczącą i najwięcej ożywioną była sekcya chemiczna. Prócz czysto-naukowych, specyalnych, zjazd przyrodników poruszył w niej kilka spraw szerszej doniosłości dla całego ogółu. Jest to przedewszystkiem sprawa terminologii chemicznej. Nadmiar słownictw w chemii jest wadą naszego języka naukowego. Historyczny rozwój chemii w Polsce sprawił, że utworzyły się dwa słownictwa, jedno oparte przeważnie na tradycyi Szkoły Głównej i używane w Warszawie i wogóle w Królestwie, drugie — któremu początek dał prof. N. Walter w Krakowie i które ostatecznie utrwaliło się w wykładach i podręcznikach w Galicyi. Ta dwoistość — nie obca zresztą i innym słownictwom chemicznym (np.

---

fun!", co znaczy „rób wiatr!"; gdy zaś ma stanąć, woła się do niego: „Man-man!" (zatrzymaj się!). W Tien-tsinie jednak niemal każdy Europejczyk mówi po chińsku, jak gdyby było to najłatwiejszą rzeczą na świecie. Na północy bowiem stosunki europejsko-chińskie są o wiele bliższe, niż gdziеindziej. Przytem Chińczyk mało się tam jeszcze przystosował do Europejczyka. ten przeto jest zmuszony stosować się do Chińczyka. Rzuca to dużo światła na energię kupców w Chinach, skoro są oni w stanie nauczyć się nawet chińszczyzny, gdy wymaga tego interes.

Z czasem „europejskie miasto Tien-tsin" będzie zapewne piękne, będzie posiadało wspaniałe gmachy, bulwary nad rzeką Pei-ho itp. Tymczasem ulice służą do przechowywania towarów i to przeważnie importowanych. Idzie się wzdłuż spiętrzonych tłomoków, skrzyń i worków. Częstokroć budują na towary szopy z mat słomianych, dostarczanych z Kantonu. Miejscami robi to wrażenie obozowiska dzikiej hordy koczowniczej. Rzeka jest wązka, lecz ogromnie ożywiona przez dżunki i małe statki parowe, robiące piekielny hałas swojemi syrenami. Pei-ho jest spławną tylko do Tien-tsinu. Zawsze przeto zbierają się tu liczne, wyładowujące swój fracht statki. Na przeciwległym brzegu piętrzą się całe góry soli, węgli i ryżu również okrytego matami; większość towaru przybyła przez wielki kanał, dosięgający przy Tien-tsinie swego kresu północnego. Przedewszystkiem czeka tu dalszej ekspedycyi ryż, tytułem daniny dostarczany do stolicy.

Właściwą dzielnicą zamieszkałą i handlową jest tu, jak we wszystkich koloniach chińskich, koncesya angielska. Główna ulica Victoria-Road nie posiada prawie żadnych sklepów. Natomiast stoją tu główne budynki miasta: Astor-house, kluby niemiecki i angielski, konsulat niemiecki, elegancki i barwny pałacyk banku indyjsko-australskiego, oraz ratusz. W stylu przeważa masywny gotyk; pochodzi to stąd, że wszystkie budowle wzniesione zostały przez jednego budowniczego. Tien-tsin tedy wygląda miejscami, jak świeżo wskrzeszona legenda rycerska. Nawet konsulat angielski stał się zamkiem obronnym. Ratusz zaś jest to potężne zamczysko o szarych, cynkiem krytych murach i łukowatych oknach, o ciężkich wieżyczkach po bokach. Na pierwszy rzut oka robi on przykre wrażenie. I któżby się spodziewał spotkać z takim gotykiem aż w Tien-tsinie! Niepodobna jednak zaprzeczyć, że gmach ten może imponować. Oficyalnie zwą go Gordon-Hall. Anglicy chcieli w nim upamiętnić imię generała Gordona, który dokonał w Chinach tylu sławnych czynów. Ponieważ zaś Gordon był przyjacielem Li-Hung-Czanga, okazali jednocześnie szczególną uprzejmość względem ówczesnego wicekróla Tien-tsinu. Wzamian za to Li-Hung-Czang polubił ratusz i ofiarował wspaniałe hafty, zawieszane w głównej sali podczas obchodów uroczystych. Sala parterowa należy do loży wolnomularskiej. Na pierwszem piętrze mają ojcowie miasta swą izbę radną. Stołki nie wyglądają tam, jak gdyby zbyt często były używane, w niejednym kącie pająk snuje swą nitkę... Najwidoczniej można rządzić Tien-tsinom, nie zbierając się często na obrady.

Ogród publiczny jest mały, lecz starannie utrzymany. Orkiestra miejska składa się z Chińczyków. Grajkowie zajmują pawilon, przystrojeni w kapelusze mandaryńskie i długie płaszcze i dmą w europejskie instrumenty. Lepiejby jednak było, gdyby dali temu pokój. Że Chińczycy są narodem niemuzykalnym, dowodzą tego najlepiej podczas swych produkcyj. I jeśli nawet przy słuchaniu marnej muzyki świadomość o jej chińskiem pochodzeniu może mieć, bądź co bądź, pewien urok, to przecież sama muzyka nie staje się przez to ani na jotę piękniejszą.

Jednym z okazalszych gmachów w kolonii angielskiej jest wielki, europejski dom mieszkalny w maurytańsko-arabskim stylu o licznych kopułach, należący do

francuskim i niemieckim) — dziś, gdy język chemiczny wskutek wzrostu przemysłu coraz bardziej przenika do mowy potocznej, gdy wreszcie powstać ma w Warszawie pierwsze polskie pismo chemiczne — rzeczywiście coraz bardziej staje się szkodliwą i utrudnia wzajemne porozumienie. Jest więc niewątpliwą zasługą chemików warszawskich, że sprawą tą gorąco się zajęli i przedstawili ją do rozstrzygnięcia zjazdowi. Niestety, projekt wykończony przez chemików warszawskich nie uśmierzał zamętu, ale raczej pomnażał go jeszcze, gdyż wprowadzał trzecią nomenklaturę różną od galicyjskiej i od warszawskiej w tych nawet punktach, gdzie oba nasze słownictwa dotąd zgodne były z sobą (np. w nazwach kwasów i soli mniejszej wartościowości: projekt warszawski proponował zmianę używanej dotąd końcówki *awy* na *isty* zamiast kwas siarkawy np. — kwas siarczysty). Sekcya chemiczna zjazdu nie mogła — choćby dla braku czasu — wdawać się w szczegółową ocenę i dyskusyę wszystkich punktów nowego projektu i już istniejących słownictw. Powzięto jednak uchwałę, która raz na zawsze powinna zakończyć bezplodny spór terminologiczny: postanowiono bowiem przekazać sprawę ujednostajnienia nomenklatury Akademii umiejętności i zobowiązano się uznać jej wyrok bez zastrzeżeń i w miarę środków wprowadzić go w życie. W dyskusyi wybitnie zarysowały się dwa obozy: chemików galicyjskich, którzy przywiązani są do swego słownictwa za jego wielką prostotę i łatwość tworzenia terminów, oraz chemików warszawskich, niezadowolonych wprawdzie ze swego dzisiejszego słownictwa, lecz stroniących też od słownictwa galicyjskiego za jego chropowate neologizmy. Jaki będzie wyrok Akademii? Zdaje mi się, że Akademia nie odstąpi od zasad przyjętych w słownictwie galicyjskiem; tem więcej, że to powodowałoby zmianę wszystkich podręczników, wszystkich książek szkolnych, które są obowiązkowo używane w całym siedmiomilionowym kraju. Natomiast byłoby bardzo pożądanem, aby Akademia uwzględniła to żądania chemików warszawskich, które w niczem nie naruszają podstaw słownictwa a usuną najbardziej rażące i niepotrzebne nowotwory językowe. Takie wyrazy, jak sole „złotowe, srebrowe, miedziowe" mogą śmiało zniknąć; zresztą i dziś przy wykładach np. unika się ich prawie zawsze. Byle tylko Akademia zechciała w rozstrzygnięciu tej sprawy odstąpić od zwykłej swej powolności! Bo inaczej, zdarzyć się może, że i przyszły zjazd zamiast przemawiać na sekcyi chemicznej jednolitą dla Warszawy i dla Galicyi nomenklaturę — będzie zmuszony znowu ponawiać dyskusyę. A byłaby wielka szkoda, gdyż przebieg obrad naukowych świadczył, iż chemia w Polsce pociąga dziś cały szereg dzielnych sił i może się pochlubić doniosłymi wynikami. W chemii — tak samo jak w polityce — przeważają dziś kierunki skrajne. Chemia organiczna w ciaśniejszem tego słowa znaczeniu prawie zupełnie straciła siłę atrakcyjną; nieorganiczna również mało ma dziś pracowników. Natomiast chemia fizyologiczna, chemia fizyczna coraz więcej sił w sobie skupiają. Posiedzenia sekcyi chemicznej wymowną były tego ilustracyą. Pierwszy dzień obrad poświęcony był prawie wyłącznie tematom fizyologiczno - chemicznym; drugi i trzeci zajęły sprawy ogólne (słownictwo i utworzenie Towarzystwa chemicznego oraz pisma), w czwartym — wykłady naukowe tyczyły się znowu przeważnie zagadnień fizyczno - chemicznych. W pierwszym dniu uwagę pochłonął referat p. Marchlewskiego o „chemii chlorofilu." Autor, od kilku miesięcy stale zamieszkały w Krakowie, przedstawił w sposób nader jasny i zajmujący wyniki kilkoletnich swych badań nad chlorofilem. Niepodobna tu streszczać wszystkich wyników, które autor otrzymał, stosując do barwnika liści ściśle metody badań chemicznych. Nadmienimy tylko, że p. Marchlewski otrzymał z chlorofilu ciało nazwane filoporfiryną, bardzo zbliżone budową chemiczną do hematoporfiryny, otrzymanej z barwnika krwi.

Również większe zainteresowanie wzniecily referaty Jana Zaleskiego (o heminie), Wł. Lepperta (o kamforze), dr. Goldsobla (o oznaczaniu budowy kwasów nienasyconych), dr. Centnerszwera (o katalitycznym wpływie pary wodnej), S. Tołłoczki i L. Brunera (o szybkości rozpuszczania ciał stałych).

Nie wspomniałem dotąd o drugiej sprawie ogólniejszej, którą sekcya chemiczna zajmowała się również: o sprawie utworzenia Towarzystwa chemicznego i założenia pisma. Sekcya doszła w tej sprawie do czysto platonicznej decyzyi, orzekającej, iż pożądanem jest utworzenie Towarzystwa, a obowiązkiem chemików polskich jest popierać pismo chemiczne materyalnie i moralnie. Dyskusya okazała wymownie, że w Galicyi, gdzie istnieją odpowiednie warunki zewnętrzne, ani Towarzystwo, ani pismo rozwinąć się nie będą mogły — dla braku przemysłu i liczniejszych zastępów chemików. Sprawę więc należy pozostawić inicyatywie chemików w Królestwie: chemicy z Krakowa lub Lwowa mogą być tylko czynni, jako współpracownicy przeważnie w działach czysto naukowych.

W sekcyi fizycznej żywą wymianę zdań wzbudził referat prof. Smoluchowskiego ze Lwowa „o nowszych postępach na polu kinetycznych teoryj materyi." W dyskusyi prof. Natanson oświadczył się za czysto fenomenologicznym kierunkiem rozumowań fizycznych i wskazywał bezpłodność badań prowadzonych dedukcyjnie ze specyalnych założeń o działaniach między cząsteczkami lub też o naturze samych cząsteczek. Referent natomiast zwracał uwagę, iż nie słuszna *a priori* odrzucać możliwość uzyskania cennych wyników za pomocą szczegółowej analizy fikcyjnego mechanizmu cząsteczkowego.

W sekcyi fizycznej uczestniczyło przeciętnie około dwudziestu osób. Taką samą frekwencyę miały również sekcye nauk przyrodniczych opisowych.

Podobnie jak chemiczna, sekcya zoologiczna naradzała się również nad ujednostajnieniem polskiego słownictwa w tej dziedzinie. Obszerny referat prof. Nusbauma ze Lwowa poruszał dwie strony kwestyi: z jednej strony spolszczenie terminów technicznych, takich np. jak „dyfferencyacya," „kopulacya" itd.; z drugiej— utworzenie nomenklatury systematycznej polskiej zamiast łacińskich nazw typów, gromad, rzędów itd. Prof. Nusbaum jako wytyczne punkty przy ustaleniu słownictwa podnosił: 1) aby terminy były dosłownym przekładem z łaciny; 2) aby miały formę rzeczownikową, nie przymiotnikową; 3) aby były możliwie krótkie i uwzględniały nazwy ludowe, nie zaniedbując jednak względów estetycznych, z którymi terminologia zoologiczna w ostatnich czasach mało się liczyła. Dyskusya nad tym referatem, bardzo długa i ożywiona, nie doprowadziła jednak do konkretnych wniosków. Sekcya oświadczyła się za oddzielnem traktowaniem

---

Chińczyka, dyrektora kopalni w Kai-ping. Przechodzi się obok niego, idąc na plac wyścigowy. Jest to mianowicie jedyny, możliwy spacer w Tien-tsinie, który nie posiada ciekawych okolic. Wkoło miasta ciągnie się w nieskończoność naga równina Pei-ho o licznych kałużach, nieuprawnych przestrzeniach gruntu, rowach i bagniskach. Poprzez tę równinę prowadzi droga na tor wyścigowy. Chińscy chłopcy stajenni trzymają się na siodle prosto, jak świece. Niekiedy przelatuje wózek myśliwski z Chińczykiem lub zamożnym Europejczykiem na koźle. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności można też spotkać jedną lub dwie panie europejskie konno, w długich, czarnych amazonkach. W głębi równiny pewien rosyjski handlarz herbaty na rozległym placu własnym wystawił lepianki, które odnajmuje Chińczykom ubogim. Stanowi to jeden z najlepszych interesów, jakie można zrobić w Tien-tsinie. Stara to historya, że największem źródłem dochodu są biedacy!

Plac wystawowy przypomina wszystkie *turfy* na świecie. Wracając, dostrzegam w powietrzu olbrzymi dym, jak gdyby od jakiegoś strasznego pożaru. Dym wisi nad dzielnicą chińską, która jednak nie stoi w ogniu, lecz w brudzie, unoszącym się w ten sposób w górę (!). Dzielnica europejska leży po przeciwnej stronie, wo mgłach zapadającej nocy. Z pośród gmachów wyłania się wieża kościoła anglikańskiego.

Osada francuska jest dzielnicą iście europejską. Mieści się w niej niewiele bardzo domów chińskich. Ulice są szerokie, wysadzone drzewami i dobrze utrzymane. Istnieje też „Rue de chemin de fer," jak w każdem prowincyonalnem mieście francuskiem. Główną ulicą jest rue de France. Konsulat leży w głębi ogrodu; jest to piękny budynek w stylu czystego Odrodzenia, o kolumnach wrosłych napół w głąb domu i charakterystycznych balkonach. Wygląda z po za zieleni, jak jakiś stary pałacyk z okolic Paryża. Inny jeszcze piękny ogród na terytoryum francuskiem jest posiadłością jezuitów. Wogóle są oni właścicielami większej części dzielnicy francuskiej. Nabyli zawczasu jeszcze, kiedy Tien-tsin był małą mieściną, wielkie posiadłości. Obecnie są panami miejsca, wartość ich własności wzrosła o pięćdziesiąt, za parę lat zaś może podnieść się sto razy. Nie pierwszy to przykład, że jezuici znają się na spekulacyach.

Po za tem jezuici francuscy zasługują na to, ażeby mówić z szacunkiem o ich działalności w Chinach. Większość innych misyonarzy uważa za swój jedyny obowiązek kazanie i tłomaczenie Biblii. Starają się oni wmodlić swą wiarę w lud, pośród którego żyją. Przez nadmierny zapał do nawracania zyskują powszechną nienawiść i jeżeli „powstańcy" mordują misyonarzy, to wina nie zawsze jest wyłącznie po ich stronie. Nieraz już mówił rząd chiński do przedstawicieli państw obcych: „Damy chętnie cudzoziemcom jeszcze większe prawa— zabierzcie nam tylko misyonarzy!"

Jezuici nie ograniczają się do pacierzy Starają się nawracać, przynosząc zarazem pożytek. Uczą Chińczyków kultury europejskiej i robią z nich jednocześnie chrześcian. W przeciwieństwie do innych misyonarzy jezuici francuscy są ludźmi wykształconymi. Klasztor ich Si-ka-wei pod Szang-hajem jest wielką szkołą. W Tien-Tsinie zakon posiada obecnie tylko dwóch przedstawicieli.

(D. n.).

Przeł. *M. B.*

sprawy nomenklatury a terminologii i postanowiła wybrać komisyę w sprawie ustalenia *terminologii* — po porozumieniu się z sekcyą anatomiczno-fizyologiczną.

Drugą sprawą ogólniejszego znaczenia, poruszoną w sekcyi zoologicznej, był roztrząsany w referacie prof. Wł. Kulczyńskiego „Obecny stan badań nad fauną krajową.“ Referent wielce zasłużony około poznania fauny galicyjskiej liczbę poznanych w Galicyi zwierząt ocenia na 14,500. Stawia zarazem szereg wniosków, mających ułatwić zadanie i wyznaczyć kierunek przyszłych badań fauny polskiej. W obszernej dyskusyi kładziono nacisk na taki sposób traktowania faunistyki, aby nie zamieniała się na katalog zamieszkałych w kraju zwierząt, lecz prowadziła do ogólniejszych i cenniejszych wniosków. Podkreślono więc potrzebę badań dokładnych w całym kraju nad biologią i geografią poszczególnych form, nad ich zmiennością w stosunku do rozmieszczenia, do pory roku itd. Zalecono również badać dokładnie całą faunę pewnych oznaczonych okolic, np. dużych stawów, skąd możnaby wnioskować o stosunkach ekologicznych i o wzajemnej zależności od siebie zwierząt.

Sekcya botaniczna obradowała przeważnie z pokrewną o wiele liczniejszą przyrodniczo-rolniczą. Rolnictwo posiada dziś w Galicyi dwie szkoły wyższe: w Krakowie i Dublanach, jedną średnią w Czernichowie i kilka niższych; uczestników więc z tej sekcyi nie brakło. Sekcya rolnicza przyciągnęła uczestników nawet z Czech: prof. Stoklasa z politechniki praskiej wygłosił referat „o deintryfikacyi.“ Inne referaty tej sekcyi tyczyły się również spraw czysto specyalnych, których więc streszczać tutaj nie będziemy.

Pisząc o przyrodniczej części zjazdu, nie należy pominąć milczeniem wystawy przyrodniczo-lekarskiej, urządzonej podczas zjazdu w dawnem gimnazyum św. Anny. Aczkolwiek ilością okazów dział przyrodniczy bardzo ustępował lekarskiemu, zasługiwał jednak na uwagę jakością wystawionych przedmiotów. Dr. J. Wiśniowski, geolog ze Lwowa, wystawił bardzo piękny zbiór doskonale zachowanych okazów flory trzeciorzędowej galicyjskiej. W dziale przemysłu przyrodniczego wyróżniały się wyroby optyczne i fotograficzne warszawskiej fabryki „Fos,“ oraz przyrządy krakowskiego mechanika uniwersyteckiego, p. Grodzickiego.

Dr. L. Bruner.

Z NIEMIEC.

Berlin, 12 sierpnia.

Wdowa w Niemczech.

Czy znasz, czytelniku, piosenkę o „wdówce, małej wdówce,“ która, jak opiewa oryginał niemiecki, tak jest przyzwyczajoną do całusów, iż nie może się ich zrzec“? Któżby zresztą nie znał tego uroczego utworu, co przewędrował całą kulę ziemską, nucony przez tysiące ust i usteczek i wygrywany przez krocie katarynek, a obecnie święci tryumf na wystawie paryskiej. To niezwykłe powodzenie kompozycyi rodzajowej z repertuaru szewckiego terminatora nie zadziwi zresztą nikogo, kto zastanowił się głębiej nad sensem moralnym tekstu, albowiem ten streszcza w istocie całkowitą naszą mądrość życiową, dotyczącą „ciepłej wdówki.“ Ta kategorya stanu cywilnego figuruje zwykle w rubryce ponętnych specyałów, dających się zdobyć i spożyć kosztem niewielkich zachodów. Że po za tem istnieje kwestya wdowia, najeżona trudnościami i brzemienna smutkiem, o tem doprawdy niewielu słyszało, a jeszcze mniej myślało. A jednak w Niemczech sprawa ta kołacze już do sore ogółu i znalazła orędownika w osobie barona Stumma, który pieczętuje się herbem opancerzonej i uzbrojonej w dyscyplinę wszechobecnej i wszechpotężnej pięści. On, co przez nieskończoną naiwność usiłuje własną osobą powstrzymać potok społeczny, skłonił sejm rzeszy do przyjęcia wniosku o ubezpieczeniu państwowem wdów i sierot po robotnikach. Rząd załatwił się ze sprawą jak zwykle, odkładając wniosek do kosza, skąd wydobędzie go dopiero wtedy, gdy zechce utargować ustępstwa od sejmu rzeszy. Sprawa zresztą wstąpiła już na porządek dzienny dyskusyi naukowej. Badania dokonane przez socyologa Prinzinga *) odsłoniły w tej mierze obraz pełen dantejskiej zgrozy.

Nie idzie tu bynajmniej o bagatelę, gdyż zaledwie połowa ogółu wdów — tj. 918 tys., ma właściwy grunt dobrobytu pod nogami, 900 tys. zdoła znośnie opędzać najniezbędniejsze potrzeby, oczywiście o ile zdrowie dopisuje, podczas gdy reszta, 400 tys., przymiera z głodu, lub jest oddaną na łaskę i niełaskę miłosierdzia ludzkiego. Co ciekawsze, młody wiek wdowy idzie zwykle w parze z niedostatkiem, albowiem tylko dłuższe pożycie małżeńskie pociąga za sobą zaoszczędzanie grosiwa na czarną godzinę. A jeśli w dodatku mąż, odumierając młodą małżonkę, pozostawi jej kilkoro dzieci na karku, wtedy niebogą, mając ręce i nogi związane obowiązkami rodzinnymi, z konieczności musi udać się pod opiekę dobroczynności. Taki los spotyka zwykle żony robotników.

Jest rzeczą stwierdzoną przez naukę ekonomiczną, iż wysokość płacy roboczej kobiety znajduje się w odwrotnym stosunku do jej stanowiska społecznego i stopnia zależności. Z tej racyi wdowa należy do najbardziej upośledzonych pracownic, gdyż ima się najczęściej pracy zaskoczona śmiercią męża, bez należytego przygotowania, zajrzawszy nędzy w oczy. Garnie się ona przeważnie do zajęć, które bądź odstraszają młodą robotnicę, bądź umożliwiają nadzór nad dziećmi. Spotykamy wśród wdów praczki i prasowaczki, szwaczki, kelnerki i roznosicielki; 80 tys. pełni funkcye pomywaczek i popychadeł w kuchni; około 150 tys. pracuje na roli w charakterze najmitek. Tylko wdowy stanu chłopskiego mają się nieźle, gdy przy pomocy dzieci są w stanie prowadzić dalej po mężu gospodarstwo, a posiadając własność ziemską, łatwiej znajdują po raz wtóry mężów. Nie potrzeba wyjątkowej wyobraźni, aby domyśleć się, jak ta rozpaczliwa pogoń za kawałkiem chleba odbija się na położeniu wdów pod względem hygienicznym i moralnym. Śmierć ze szczególnem zamiłowaniem sieje zniszczenie na tej glebie umierzwionej biedą i rozpaczą. Na pociechę wdów można tylko przytoczyć, iż śmiertelność wdowców jest znacznie wyższą prawdopodobnie wskutek nadużyć *in Venere et Baccho* i braku opieki. Pomiędzy wdowami również przeraźliwie grasują choroby umysłowe, pomimo iż większość wdów (75%) przekroczyła piąty krzyżyk. Cóż dziwnego! Wszak samotność, smutek i kuma troska podkopują system nerwowy. Potęgi te nietylko nadłamią zdrowie, ale osłabią ducha i pchają desperatkę w objęcia śmierci dobrowolnej. To też wdowy dają wdwójnasób większy kontyngens samobójczyń w porównaniu z kobietami innych stanów cywilnych. A jeśli nieszczęśliwa nie upadnie i pójdzie o własnych siłach swą ciernistą drogą, jakże łatwo potknąć się o kamień przepisów prawnych! Zbrodniczość wdów przeraża. Panny i mężatki o 100% rzadziej wykraczają przeciw prawu. Zbrodniczość ta jest wszakże odrębnego rodzaju. Wdowy częściej od innych kobiet odnajmują pokoje, a więc też częściej dają u siebie przytułek prostytutkom, co pociąga za sobą często karę za stręczenie do nierządu. Wdowa, prowadząca sklep, bądź zupełnie nie jest oznajmiona z prawem, bądź nie potrafi zrozumieć doniosłości społecznej odnośnych przepisów. Wcześniej lub później wchodzi tedy w zatarg z porządkiem publicznym i karzącą ręką sprawiedliwości. Zakres przestępstw tego rodzaju prowadzi najczęściej do więzienia.

Ponury, a nawet krwawy obraz przedstawił się oczom naszym. Dom waryatów, śmierć i więzienie zagradzają życie wdowie. Ubóstwo i konieczność torowania sobie drogi własnem ramieniem, które przedtem opierało się na barkach silniejszych, prowadzą na bezdroża upadku i w przepaść zguby.

Jakże zaradzić tej klęsce? Naprzód nasuwają się na myśl owe projekty, którymi zamierzano rozwiązać kwestyę staropanieństwa. Chciano np. opodatkować mężczyzn trwających w dobrowolnym celibacie, a odnośny fundusz użyć na posagi, inni wyprawiali stare panny do kolonij zamorskich, gdzie Europejczycy toczą krwawe walki o każdą kandydatkę do małżeństwa, bez różnicy wieku, urody i cech poszczególnych. Wobec tego jednak, że wspomniane projekty pozostały w śpichlerzu... sieczki dziennikarskiej, należałoby w kwestyi wdowiej wziąć się do rzeczy poważnie. Sejm rzeszy, jakeśmy rzekli, uchwalił większością głosów wniosek platoniczny, nie dając namacalnego zarysu ustawy. Zadanie to wziął na siebie Prinzing, wychodząc z zasad, stosowanych przy ubezpieczeniu wdów po urzędnikach. Tymczasem poprzestaje on na klasie robotniczej, oblicza, że po 68 latach ilość napływających i umierających wdów wyrównywa się. Po upływie tego terminu rząd za podstawę swych operacyj może przyjąć jako stałą liczbę 1,1 mil. wdów. Tymczasem roczna pensya wynosiłaby 80 marek, a suma wypłacanych zapomóg po 70 latach 111 mil. m. Ten bajeczny na pierwszy rzut oka wydatek nie obciążyłby atoli zbytnio państwa, jeśli przyjąć pod uwagę, iż rządowe biuro ubezpieczeń robotników na wypadek śmierci i nieszczęśliwych wypadków rozporządza olbrzymimi funduszami rezerwowymi, które leżą odłogiem. W dodatku gminy miejskie, wypłacające pensye wdowom, nie poczyniłyby wielkiego uszczerbku w swym budżecie, gdyż z nich właśnie składa się większość osób, otrzymujących zapomogi. Zaszłaby jednak ta zmiana, iż miejsce upakarzającej jałmużny zajęłoby ubezpieczenie obowiązkowe, uświęcone przez prawodawstwo.

H. F.

*) *Zeitschrift fur Sozialwissenschaft.*

NOWELE PRAWODAWCZE.

Niezmiernej dla nas doniosłości prawo świeżo ogłoszonem zostało w nr. 74 „Zbioru praw i rozporządzeń“ z r. b. *). Dotyczy ono ubezpieczeń ogniowych, które najzupełniej zreformować zamierza. Jak wiadomo obowiązująca u nas od lat 30 ustawa ogniowa zawierała liczne braki, na które ministeryum spraw wewnętrznych zwróciło uwagę jeszcze w roku 1882; wtedy postanowiono dokonać reformy. Ale dopiero w r. 1894 wykonanie tej myśli powierzono komitetowi ubezpieczeń, któremu odpowiednich materyałów dostarczył delegat ministeryalny

*) P. *Wiest. finansów* (organ min. skarbu) nr. 17 oraz streszczenie tego artykułu w *Kur. Warsz.* nr. 199.

do Królestwa, p. Sawicz. W ten sposób powstał projekt, w marcu r. b. złożony radzie państwa i obecnie ogłoszony w postaci prawa.

Główną, podstawową zmianą nowego prawa w stosunku do przepisów z r. 1870 jest upoważnienie asekuracyi rządowej do przyjmowania ubezpieczeń nietylko do sumy 5,000 rb., ale w pełni szacunku. W ten sposób więksi właściciele, którzy dotąd mieli do czynienia z kilku asekuracyami (rządową do 5,000 rb. i prywatnemi towarzystwami po nad tę skalę), otrzymują zachętę do ubezpieczeń rządowych w całej rozciągłości szacunku swoich nieruchomości. Takie rozszerzenie działalności naturalnie zapewni asekuracyi rządowej znaczne korzyści, jednając jej klientelę dobrą, dotąd od ubezpieczenia rządowego wyłączoną.

Niemniej ważna jest i druga właściwość prawa z r. b. Według przepisów z r. 1870, taryfa premiów zatwierdzana była co 10 lat w drodze ustawodawczej. Już ta jedna okoliczność wpływała na unieruchomienie taryfy. Z drugiej strony zaś mowa dotąd była tylko o rewizyi co 10 lat taryfy premiów, z pominięciem tak ważnego czynnika, jak rewizya klasyfikacyi budowli. Doniosłość tej ostatniej stwierdza np. fakt, że w dziesięcioleciu 1877—86 ubezpieczenia wogóle dały zysku 1,704,533 rb., ubezpieczenia zaś w osadach wykazały strat 2,875,110 rb. Tak więc osady, niewyodrębnione w oddzielnej rubryce taryfowej, dały straty, które pokryli właściciele nieruchomości wiejskich i miejskich. Unikając tych usterek, nowe prawo kreśli tylko zasady i normy, w których granicach upoważnia ministeryum spraw wewnętrznych do stanowienia taryf i klasyfikacyj. W dodatku nowe prawo bierze zupełny rozbrat z systemem wszelkich opłat dodatkowych, wychodząc z założenia, że dobrze ułożone normy nie mogą narazić ubezpieczeń rządowych na straty i że straty jednego roku muszą być zrównoważone zyskami w drugim.

Trzecią właściwością prawa jest dążenie do uporządkowania poszczególnych miejscowości pod względem ogniowym, a to przez wyznaczanie dość hojnie nagród za gaszenie ognia, zapomóg pogorzelcom, o ile odbudowywać się będą prawidłowo itp. Na tego rodzaju zapomogi prawo przeznacza połowę dochodów z chwilą, gdy fundusz zapasowy dosięgnie pewnej, określonej normy.

Wreszcie — reforma dotyczy też strony zewnętrznej ubezpieczeń, mianowicie administracyi. Sposoby deklarowania ubezpieczeń, szacowania szkód itp. wywoływały wciąż narzekania i były powodem sporów.

Wady w zarządzie, zwłaszcza przy likwidacyi strat, były też przyczyną częstych podpaleń. Według danych *Wiestnika*, w latach 1892—96 liczba pogorzeli z podpalenia czyniła w Królestwie 13,1%—17,4% ogółu wypadków pogorzeli. W gub. Radomskiej pogorzele z podpalenia wynosiły w 1894 r. 19,3%, w Kieleckiej 22% i w Siedleckiej 33,6%. Liczby te jeszcze groźniej się przedstawiają, jeżeli część wypadków ognia „z przyczyn niewiadomych“ zapiszemy na rachunek pogorzeli.

Otóż celem uporządkowania tych stosunków nowe prawo zasadniczo zmienia ustrój ubezpieczeń rządowych. Pozostają one odtąd w zawiadywaniu: *a*) ministra spraw wewnętrznych, jako głównego kierownika; *b*) zarządu centralnego, utworzonego w Warszawie pod zwierzchnictwem ogólnem generał-gubernatora; *c*) agentów powiatowych i wiejskich; *d*) zarządów gminnych — wiejskich i miejskich.

Zarząd główny w Warszawie składać się będzie z prezesa, wiceprezesa, inspektorów, referentów i pomocników ich. Prezesa mianuje władza Najwyższa, innych — ministeryum spraw wewnętrznych w porozumieniu z generał-gubernatorem, pozostałych — prezes zarządu.

Agentury będą w powiatach, bądź po jednym na powiat, bądź na parę powiatów. One to zarządzają bezpośrednio ubezpieczeniem na miejscu.

Wreszcie zarządy miejskie i gminne stanowią pierwsze źródło wiadomości o nowych budowlach, przebudowach, wypadkach itp.

Nakreślona powyżej nowa organizacya czyni z ubezpieczenia rządowego przedsiębiorstwo handlowe, rokujące zyski pewne. Koszty jej będą większe, niż dotychczas. Jeżeli przypuścimy, że każdy powiat będzie miał agenturę i że główny zarząd posiądzie 5 inspektorów, gminy zaś i miasta otrzymają po 50 rb. zapomogi — suma kosztów rocznych uczyni około 440,000 rb., tak iż na 100 rb. premium wypadnie około 11% kosztów. W towarzystwach prywatnych koszty te wynoszą 23 8%, w towarzystwach miejskich wzajemnych 21,5%, zaś w ziemskich najtańszych 9%.

Nowa ustawa nie obejmuje Warszawy. Termin jej wprowadzenia określi ministeryum spraw wewnętrznych w porozumieniu z generał-gubernatorem. W miarę wprowadzania reformy, wydziały ubezpieczeniowe w rządach gubernialnych i referaty w zarządach powiatowych kasują się. Przed r. 1907 ministeryum ma złożyć swoje uwagi co do ulepszeń, pożądanych w nowej ustawie.“

Władze przystąpiły już do wprowadzenia reformy; czytamy, że ministeryum delegowało do Warszawy p. Daniłowskiego, który ma się zająć czynnościami przygotowującemi zastąpienie obecnie działających instytucyj — nowemi. Zaś doniosłość samej reformy ogniowej oceni — życie. Prawdopodobnie niejednokrotnie wrócimy jeszcze do tej kwestyi. Dziś zaznaczymy tylko, że na tej zmianie prawodawczej stracą w niezmiernie silnym stopniu liczne u nas towarzystwa prywatne; opuści je dotychczasowa klientela. Żadnej wątpliwości nie ulega, że straty te mogą być nader dotkliwe, a w pewnych wypadkach stanowić mogą o istnieniu towarzystwa. Wszystko to jednak zahacza już o mniej lub więcej odległą przyszłość. Czekajmy tedy.

W tym samym zeszycie „Zbioru praw“ ogłoszono ważne dla rolnictwa prawo o kredycie melioracyjnym. Kredyt ten ma być przyznawany na: „osuszanie i nawadnianie gruntów, umacnianie brzegów rzek, parowów i piasków lotnych, zaprowadzanie lasów, sadów owocowych, winnic, chmielników, na karczowanie nieużytków, na urządzanie gospodarstw kolonialnych w majątkach dworskich przy komasacyi gruntowej, urządzanie śpichlerzy, stajni, obór, suszarni itp., urządzanie zakładów przemysłowych rolniczych, jak olejarni, serowarni, młynów, tartaków itd., wreszcie na kupno inwentarza zarodowego.“

Tak w mgławicowych zarysach brzmi prawo. Co do wykonania, to: „pożyczki do wysokości 500 rb. będą przyznawane przez władze miejscowe, gdy już po nad 500 rb. — przez ministeryum rolnictwa, sprawę zaś pożyczek po nad 5,000 ma uprzednio rozważać osobny komitet w wydziale ministeryum.“

Prawo określa bliżej „władze miejscowe,“ którym w danym wypadku odpowiadać będą „komitety gubernialne,“ do których wchodzą: zarządzający dobrami skarbowemi jako prezes, pełnomocnik gubernialny do spraw gospodarczych, zarządzający oddziałem Banku państwa, zarządzający oddziałem Banku szlacheckiego lub włościańskiego i prezes zarządu ziemskiego. Nadto prezes może powoływać osoby postronne z głosem doradczym. Tak brzmi prawo dla całego państwa. W uwadze zaś do § 6 czytamy: „W guberniach, w których nie będą utworzone komitety gubernialne, do czasu powstania tych komitetów podania o pożyczki będą rozważane bezpośrednio przez komitet w wydziale ekonomii wiejskiej i statystyki rolniczej, przyczem sprawdzanie zamierzonych robót na miejscu i dozór nad ich wykonywaniem porucza się urzędnikom ministeryum — miejscowym lub ku temu umyślnie wysyłanym.“

Tyle razy już mówiliśmy w *Prawdzie* o znaczeniu i potrzebie kredytu melioracyjnego, że ograniczymy się dziś do przedmiotowego tylko referatu. Jakie owoce da nowela prawodawcza, dziś przesądzić trudno. Kilka już było „praw o kredycie melioracyjnym“; wszystkie wiodły żywot efemeryczny i po krótkiem istnieniu ustąpić musiały przed powagą wymagań życiowych. Te ostatnie są jedynym sprawdzianem wartości prawa. I dlatego czekać należy. Dziś zaś już *Nowoje Wremia* zwraca uwagę, że zbytnia formalistyka może hamować dobroczynny wpływ samego aktu prawodawczego.

BADANIA NAUKOWE.

HIPOTEZY W DZIEJOPISARSTWIE.

Wspomnieliśmy już, że najtwardszym orzechem do zgryzienia w kronice Gallusa był ów „traditor,“ św. Stanisław.

Ze stanowiska jednak *biskupa* Balduina Gallusa wyrażenie to jest zupełnie zrozumiałem. Biskup Balduin Gallus bowiem jako obcokrajowy był oczywista przysłany do Polski z ramienia Rzymu: w każdym razie był gorącym stronnikiem Rzymu. Pisał on kronikę swoją zaledwie w 30 lat po głośnych w całej Europie walkach o reformy Gregoryańskie. We wszystkich państwach Europy, w obrębie całego ówczesnego chrześciaństwa wrzała walka o te reformy, których celem było ustalenie przewagi kuryi rzymskiej nad całym kościołem, a więc nad wszystkiemi arcybiskupstwami i biskupstwami wszystkich krajów katolickich. Wiadomo, że planom Grzegorza VII sprzeciwiały się nietylko różne państwa, zwłaszcza cesarze niemieccy, ale także różni dostojnicy kościoła w różnych państwach. Wszędzie byli między biskupami stronnicy i przeciwnicy idei Gregoryańskiej. Przeciwnicy obstawali za samodzielnością biskupstw i kapituł i niezależnością od Rzymu, którą utrzymać starali się przez sojusz z władzą świecką. Gdzie zaś władza świecka stanęła po stronie Rzymu, tam biskupi antigregoryańscy wypowiedzieli wojnę zarazem Rzymowi i władzy świeckiej. *Taka* sytuacya wytworzyła się za czasów Bolesława Śmiałego w Polsce.

Z przyczyn politycznych Bolesław Śmiały był stronnikiem Grzegorza VII. Zachowały się listy papieża tego, w których wzywa Bolesława Śmiałego do popierania reformy kościelnej w Polsce. Jeżeli biskup Stanisław był przeciwnikiem Bolesława, to oczywiście był antigregoryaninem. Że nim był—nic dziwnego. Duchowieństwo polskie, o ile się rekrutowało ze szlachty, uważało majątki kościelne w Polsce za *swoje*, bo pochodziły z fundacyi szlachty. Pretensye i żądania Rzymu musiały temu duchowieństwu krajowemu wydawać się przesadne. Liczne są na to dowody, że w Polsce jak i w innych krajach Europy w XI wieku episkopat *krajowy* sprzeciwiał się zaprowadzeniu reform Gregoryańskich, do których należało także *bezżeństwo* duchownych. Stronnik papieża Bolesław Śmiały musiał się

narazić takim biskupom antigregoryańskim. Że dalej biskup krakowski Stanisław *nie był* po stronie papieża, owszem, że walczył przeciwko Rzymowi, dowodzi okoliczność, że ani Grzegorz VII, ani żaden z ówczesnych pisarzy kościelnych albo kronikarzy klasztornych słówkiem nie wspomnieli o zabójstwie jego, co przecież bez wątpienia by nastąpiło, gdyby św. Stanisław był poległ *w obronie kościoła rzymskiego*. W XI i XII wieku nie mamy żadnej wzmianki o zabójstwie św. Stanisława. Rzecz prosta: w oczach Rzymu obrońca kościoła krajowego (czy jak twierdzi dalej idąca hipoteza Maks. Gumplowicza obrońca „obrzędu słowiańskiego“ *) w każdym razie był „zdrajcą,“ choć w oczach bezstronnego historyka jest on reprezentantem *idei*, co najmniej równie uprawnionej, jak Gregoryańska idea supremacyi Rzymu.

Ale jasna rzecz, że wszyscy obcokrajowi dostojnicy kościoła przysyłani do Polski z ramienia Rzymu, jedyną mając podporę swoją w Rzymie, a nie w ludności krajowej, tj. w szlachcie, musieli być gorącymi zwolennikami idei Gregoryańskiej. W takiem też położeniu znajdować się musiał ów tajemniczy „Gallus mnich i kapelan nadworny,“ który r. *1113* pisał kronikę swoją, w takiem też a nie innem ów Balduin Gallus, który r. *1114* mianowany został biskupem kruszwickim, a który jakeśm widzieli wraz z autorem kroniki, najprawdopodobniej stanowiłł jedną i tę samą osobę.

Na zasadzie więc tej hipotezy o „Balduinie Gallusie“ sąd kroniki, że biskup Stanisław był „traditor“ staje się najzupełniej jasnym i zrozumiałym. W oczach każdego Gregoryańczyka każdy antigregoryańczyk uchodził za „traditora,“ za zdrajcę sprawy Rzymu. Że zaś nasz kronikarz konsekwentnie wyrazu „traditor“ w *tym* sensie używa najlepszy tego dowód w jego opisie zamieszek po śmierci Mieszka II, które nie były niczem innem, jeno powstaniem przeciw popieranemu przez Ryxę duchowieństwu niemiecko - łacińskiemu, w obronie czy to „obrządku słowiańskiego,“ jak sądzi Maksym. Gumplowicz, czy też poprostu duchowieństwa swojskiego. Kronikarz nasz tedy nazywa ze swego stanowiska najsłuszniej wrogów Ryxy zdrajcami (traditores).

Widzimy stąd, że kronikarz Gallus przeciwników rzymskiego obcokrajowego duchowieństwa nazywa zdrajcami i że tem mianem napiętnował także biskupa Stanisława, co w ustach obcokrajowego duchownego w Polsce, a, więc naturalnego stronnika Rzymu, i wroga wszelkich separatystycznych względem Rzymu tendencyj kleru katolickiego, bynajmniej zadziwić nie może. Tak tedy: hipoteza o Balduinie, jako autorze kroniki naszej, wyjaśnić ustęp dotąd ciemny o *traditorze* jest zdolna.

Powiadają historycy (zwłaszcza duchowni, ale i wielu świeckich), że niepodobna przypuszczać, ażeby biskup Stanisław Szczepanowski był przeciwnikiem Rzymu, skoro Rzym go kanonizował. Zarzut ten jest tylko, że tak powiemy, *kanoniczny*, ale nie *historyczny*. Według nauk kościoła i według zasad kanonizacyi, przeciwnik Rzymu nie mógł nigdy być kanonizowany, a święty kościoła katolickiego nie mógł nigdy być przeciwnikiem kościoła rzymskiego, a więc najwyższej jego powagi: kuryi rzymskiej.

Ale ten zarzut zupełnie słuszny ze stanowiska nauki kościoła, nie może obalić faktów historycznych, tak samo jak nauka kościoła nie mogła obalić sprzeciwiającego się jej systemu Kopernika i faktów naukowo udowodnionych, na których ten system spoczywa.

*) *Zur Geschichte Polens im Mittelalter*, Innsbruck 1898.

Faktem zaś historycznym jest, że kościół katolicki, kurya rzymska, cały świat katolicki, reprezentowany w tak obfitej od schyłku XI i przez cały wiek XII literaturze duchownej *ani jednem słówkiem, ani jedną sylabą nie wspomniał o męczeństwie św. Stanisława*, o zabójstwie jego przez Bolesława Śmiałego. Co więcej, mamy tak licznych pisarzy duchownych z końca XI i z całego XII w., którzy cudom świętych obszerne dzieła poświęcali: *o cudach św. Stanisława aż do naszego Kadłubka* w końcu XII w. nikt ani słówkiem nie wspomina. To głuche milczenie o św. Stanisławie, męczeństwie jego i cudach przez 120 lat jest aż nadto wymownem. Według wszakże zasad krytyki historycznej z milczenia tego wnosić należy, że św. Stanisław nie poniósł śmierci *w obronie kościoła rzymskiego* i że *o żadnych cudach jego przez 120 lat nikt nic nie słyszał*.

Ale ta ściśle logiczna konkluzya spotyka się znowu z jeszcze gwałtowniejszymi zarzutami, tym razem już nie kanonicznymi, ale „moralnymi.“ Jakżeż — powiadają z oburzeniem Dzieduszyccy, Kalinkowie — można przypuścić, żeby taki Mistrz Wincenty, biskup krakowski z palca sobie wyssał całą bajkę o biskupie Stanisławie, skarconym przez bezbożnego króla, o męczeństwie jego w obronie kościoła, a w końcu o tylu cudach, stwierdzających najlepiej świętość biskupa Stanisława?

Na to trzeźwa krytyka historyczna odpowiedziała już dawno, że cała kronika Kadłubka jest zlepkiem najdziwaczniejszych bajek i wymysłów. Sąd taki o Kadłubku wypowiedzieli historycy obcy i swojscy w najrozmaitszych formach, tak że ułożyćby się dała cała skala sądów o Kadłubku od form najrubaszniejszych do najdyplomatyczniejszych — do *bezczelnych płytkich zmyśleń* Schlözera, *kłamliwości* Zeissberga, aż do *gadulstwa* Małeckiego...

Zresztą nie trzeba zbyt tragicznie brać zarzutu kłamliwości, czynionego pisarzom wieków średnich. Była to ogólna wada wszystkich historyków-kronikarzy owych czasów. Nic dziwnego, nie traktowali oni historyi jako *nauki*, której celem jest poznanie *prawdy*. U nich dziejopisarstwo było raczej *środkiem* dla różnych celów, a *cele* te uświęcały środki. Wszak to samo spostrzegamy u Długosza. Wszak i on, aczkolwiek wysoki dostojnik kościelny, w historyi swojej okropnie „zmyśla,“ jak na każdym kroku stwierdzać musi komentator jego najnowszy, Semkowicz, podczas kiedy nieco grzeczniejsi krytycy zarzucają mu tylko, że „amplifikuje.“ Tak tedy świadectwo Kadłubka nie ma żadnego znaczenia, na niczem się opierając, nie można obalić powyższej konkluzyi logicznej mianowicie, że całe męczeństwo św. Stanisława w obronie kościoła jest *zmyślonem*. Wprawdzie znajdujemy tę bajkę zapisaną pod r. 1079 także w rocznikach kapituły krakowskiej: ale ustęp ten cały jednozgodnie dzisiaj uznany został za wtręt późniejszy, pochodzący również od Kadłubka. (Zeissberg).

(D. n.).

Prof. Dr. L. Gumplowicz.

LITERATURA I SZTUKA.

Nowy obraz dziejów literatury polskiej.

I.

Bliższe zastanowienie się nad dziejami nauki, zwanej historyą literatury polskiej, przekonywa nas wymownie, że postęp jej po za sferą materyału, który stopniowo wzrasta — jest nadzwyczaj opieszały. Już 79 lat upływa od chwili, kiedy Kazimierz Brodziński zaczął ją wprowadzać na drogę prawidłowego rozwoju; a jeszcze dotąd nie zdobyła ona sobie pożądanej samoistności. Znane dotychczas, od r. 1814 ogłaszane drukiem, podręczniki — oryginalne i kompilacye (w pokaźnej ilości dwudziestu kilku), mające na celu odtworzenie całokształtu dziejów naszego piśmiennictwa, różnią się między sobą wogóle pod względem rozmiaru, układu, stylu, wartości szczegółów naukowych i poglądów: ale wszystkie przedstawiają mniej lub więcej bezkształtną kombinacyę ustępów historycznych i biograficznych, gdzie właściwa poezya skromne stosunkowo zajmuje miejsce. Wobec takiego stanu rzeczy z niecierpliwością i dobrą otuchą oczekiwaliśmy zapowiedzianej oddawna książki profesora Piotra Chmielowskiego, wybitnego znawcy przedmiotu i autora wielu cennych monografij. Dzisiaj mamy już pod ręką pięć tomów dzieła *(Piotr Chmielowski: Historya literatury polskiej, z przedmową Bronisława Chlebowskiego, z ilustracyami — Warszawa, druk. Granowskiego i Sikorskiego)*, wynoszących razem 1,266 stronic tekstu, opatrzonego obficie portretami, podobiznami starych rękopisów, kart nagłówkowych i autografów. Sprobujmy ocenić wartość tego okazałego, choć jeszcze nie ukończonego wydawnictwa.

Przedewszystkiem zaznaczyć muszę, iż zupełnie zbyteczną a nawet śmieszną poniekąd wydaje mi się „przedmowa“ Bronisława Chlebowskiego. Starodawna, a dzisiaj wskrzeszona, moda zaopatrywania nowych książek w rekomendacye autorów jest o tyle uzasadnioną, o ile ogłaszamy pracę nieżyjącego lub nieznanego ogółowi pisarza; ale Chmielowski nie potrzebuje chyba podobnego zalecenia. Najważniejszą częścią dodatkowego artykułu jest suchy a daleki od zupełności, regestr dotychczasowych książek, traktujących o historyi literatury polskiej. Powinien to był uczynić sam autor, tylko w sposób o wiele dokładniejszy. W „przedmowie“ p. Chlebowski wysila się na panegiryzm dla historyka, i rozprawia o jego dziele jak prorok, z zamkniętemi oczyma. Podaje np. właściwą datę urodzenia (r. 1848); a następnie, podziwiając płodność uczonego, pisze: *„dopiero dochodzi lat 50“*; chociaż cecha chronologiczna pierwszego tomu książki wskazuje, że Chmielowski ma już *51*. W dalszym ciągu uprzedza czytelników, iż nie znajdą tu „historyi szkół, ni dziejów ruchu religijnego“; a tymczasem jedno i drugie jest w książce szeroko traktowane. Komu, pytam, i na co przydać się mogą podobne *prologi?*

Na czele dzieła wielotomowego, mającego przedstawić całkowity obraz historyi literatury polskiej, czytelnik pragnąłby się spotkać z poglądem na przeszłość i obecny stan danej gałęzi wiedzy, której poziom rozwoju jest dzisiaj o wiele niższy, niż np. społeczno - politycznych dziejów naszego narodu. Piotr Chmielowski, znany ze swej sumienności, pierwszorzędny erudyta-bibliograf, tym razem nie uważał za stosowne poprzedzić swej książki odpowiedniem przedsłowiem. „Wstęp“ zawiązuje się przygodnie od zacytowania słów Marcina Kromera, który niegdyś powiedział, że Polacy są pojętni, lecz nie pomysłowi, pochopni do czynu, ale nie wytrwali. Byłby-to wyborny początek artykułu naczelnego dla jakiego tygodnika lub miesięcznika; wielka wszakże praca historyczna, podobnie jak budynek wspaniały, powinna mieć stosowniejsze, jaśniejsze, bardziej okazałe *atrium*.

Bądź co bądź uprzedza autor, że zajmie się wyłącznie losami *poezyi* polskiej. „Nie mając bynajmniej pretensyi (powiada na str. 23) do odtworzenia całej duszy narodu, postaram się przynajmniej wskazać,

jakim przemianom uległy jej objawy w ciągu dziewięciowiekowego ich odzwierciadlania się w dziedzinie literatury, pojętej w ściślejszem znaczeniu, to jest tak zw. *literatury pięknej...*" Nie dotrzymał jednak obietnicy; olbrzymią bowiem większość swej książki poświęcił różnym gałęziom historyi ogólnej (rozwojowi stanów społecznych, oświaty, reformy religijnej), dziejom piśmiennictwa prozaicznego i wiadomościom biograficznym. Wincenty Kadłubek zajmuje np. 8 stronic; tyleż Jan Długosz (oprócz ilustracyi); Grzegorz z Sanoka (który nic po sobie nie zostawił) 5 stronic; a na pobieżny o *Trenach* Kochanowskiego artykulik przeznaczono zaledwo półtory karty druku. Jest-to najwydatniejsza wada organiczna dzieła, które, jak widzimy, pod względem zasadniczej budowy nie stanowi bynajmniej momentu postępowego.

Autor dzieli historyę piśmiennictwa polskiego na trzy główne „epoki": 1) „literatury kościelnej" od r. 966 do 1400); 2) „literatury szlacheckiej" (od r. 1400 do schyłku wieku XVIII); 3) „literatury narodowej (do naszych czasów). „Epoki" te (wraz ze swymi poddziałami w „okresach" i „dobach") łudzą pozorem trafności; lecz z punktu widzenia logiczno-dziejowego nie dadzą się ściśle umotywować. Miano tu widać na względzie nietylko literacką, ale i społeczno-państwową przeszłość narodu; pogodzenie zaś tych różnych gałęzi życia w jednym systemie nie jest wcale rzeczą łatwą. Rok 1400 ma wielką wagę dla historyi oświaty polskiej; nie przedstawia wszakże określonego znaczenia w dziejach politycznych i literackich: ani ustrój społeczny, ani charakter zarodkowego piśmiennictwa naszego nie uległ wtedy zmianie. Schyłek wieku XVIII położył kres bytowi „Rzeczypospolitej"; lecz nie zaznaczył żadnego przełomu w literaturze.

Nazwy, nadane „epokom," nie mają również znaczenia pozytywnego. Literatura (w obszernem tego słowa rozumieniu) po r. 1400 nie stała się bynajmniej „szlachecką," jak poprzednio nie była w swych dążnościach ściśle „kościelną" — choć ją głowy duchowne wytwarzały. W wieku XVI, obok szlachty, na polu piśmiennictwa występują i plebejusze (Dantyszek, Hozyusz, Kromer, Janicki); nie brak też jednostek potężnych a wpływowych (jak Piotr Skarga), przemawiających w duchu kościelnym, który później przez długi czas nad całą dziedziną słowa drukowanego panuje. „Trzecia" wreszcie „epoka" („narodowa") nie przedstawia jeszcze bynajmniej harmonijnego zespolenia wszystkich stanów społecznych w literaturze — co nadewszystko uwydatniło się w szóstem dziesięcioleciu wieku XIX, gdy cały szereg zjawisk, mimo dość silnego w poprzedniej dobie prądu demokratycznego, zdradzał świadome jakoby dążenie do apoteozy rodów szlacheckich w poezyi naszej. Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że pierwociny piśmiennictwa w Polsce wyszły z pod pióra duchownych przewodników narodu, — że potem szlachta stanęła u steru spraw — zarówno społeczno-politycznych, jak i umysłowo-literackich, — że następnie, z upadkiem Rzeczypospolitej i przywilejów kastowych, zaczęli się herbowcy mieszać z innemi warstwami i miejsca im ustępować; ale nie można przecież powiedzieć, żeby literatura, a mianowicie poezya, te same przechodziła koleje; ma ona sferę odrębną, która, w granicach rozwoju stanów społecznych zamknąć się nie da, a więc i nazwy momentów jej życia — z jej własnego, nie zaś socyologicznego powinny być poczerpnięte słownika. „*Pierwsza* epoka" historyi literatury (według podziału autora) jest w gruncie urojoną; bo piśmiennictwa twórczego w owym czasie nie było; lecz przyjmujemy ją tradycyjnie, jako niezbędny do pewnego stopnia wstęp dziejowy. Ta kolebka pisarska za Piastów, chociaż opiekowali się nią księża, nie może być poczytena za ściśle „kościelną," ze względu na świecko-polityczne dążności takich kronikarzy, jak: Gallus i Janko z Czarnkowa. „Drugiej" (właściwie *pierwszej*) „epoce" nadane miano zdaje się być najmniej niezgodne z istotą rzeczy—zwłaszcza w stosunku do piśmiennictwa, traktowanego encyklopedycznie; ale od najokazalszych płodów twórczości ówczesnej jaskrawo odbija. Co „szlacheckiego" np. może być w *Trenach* Jana z Czarnolasu? — A jeśli idzie o poezyę bardziej przedmiotową, czyż nie są dość demokratycznemi, na tle swojej epoki, malujące żywo ucisk ludu, rzekome sielanki Szymonowicza: *Żeńcy* i *Pastuszy?* Logika nie pozwala uważać tych utworów za wyjątki, bo one tkwią w rdzennem ognisku twórczej owych czasów pracowni.

Nazwa „epoki trzeciej" jest jeszcze mniej ścisłą; bo wynika z błędnej hipotezy: że literatura polska stała się *narodową* dopiero wtedy, gdy społeczeństwo utraciło swój niezależny byt polityczny. Byłoby to arcydziwne, nienaturalne zjawisko. Wprawdzie nasze piśmiennictwo piękne—skutkiem wczesnego oddziaływania napływowej, wrogiej miejscowym żywiołom, cywilizacyi — nie miało początku organicznego, ale w dobie reformy religijnej, pod chrztem wolności ducha, weszło na drogę rozwoju, i stało się koniecznym, szczerym wyrazem uczuć i myśli narodowych. Uprawiała ją, naturalnie, garstka oświeconszych a mniej lub więcej utalentowanych członków społeczeństwa, należących niemal wyłącznie do stanu szlacheckiego; w wieku XIX-ym jednak nie nastąpiła pod tym względem żadna zmiana istotna: legion bojowników nowej idei— wieszczeromantycy pochodzą z warstwy, niegdyś uprzywilejowanej. Ale naród, a wraz z nim piśmiennictwo poczęło się podobno wtedy „demokratyzować"—co właśnie dla Chmielowskiego stanowi podstawę do nazwania „epoki trzeciej" „narodową." „Literatura (pisze na str. 4 tomu III) staje się wyrazem myśli, uczuć i ideałów — *wszystkich klas społecznych*, bez wyłączenia ludu." Kategoryczności tego sądu przeczy, wolna od złudzeń, prawda dziejowa. Idea demokratyczna, ujawniająca się w dążności do wyzwolenia, uwłaszczenia i uobywatelenia ludu, znajduje już wyraźny odblask na kartach książki króla Stanisława Leszczyńskiego p. n.: *Głos wolny, wolność ubezpieczający* (r. 1733); o wiele donioślej i praktyczniej tętni ona w rozprawach i czynach kierowników sejmu wielkiego, a potem w rozporządzeniach Tadeusza Kościuszki; lecz postęp tego prądu — proces „demokratyzowania się" narodu i jego literatury jest w ciągu XIX-go stulecia nadzwyczaj powolny, wstecznymi wichrami ustawicznie tłumiony —. tak, iż podana przez autora zasadnicza charakterystyka „epoki trzeciej" może się stosować zaledwo do najnowszej, bieżącej doby. Zauważyć też potrzeba, że owa, podkreślona przez Chmielowskiego, bądź co bądź rzeczywista i ciągła, z rozlicznemi a nieraz olbrzymiemi przeszkodami zwycięzko walcząca, dążność postępowo-społeczna najmniej przejawia się w arcydziełach słowa twórczego, — co zresztą jest łatwe do zrozumienia; bo w dziedzinie poezyi tendencya publicystyczna podrzędną odgrywa rolę. Stąd i układ podziału historyi literatury pięknej raczej na genetyczno-estetycznym, niż na socyologicznym opierać się powinien gruncie.

Nietylko podstawowej części systemu („epokom"), lecz i jej rozgałęzieniom zarzucić można jużto mniej zgodne z prawdą dziejową, granice chronologiczne, już to nazwę niedość uzasadnioną. „Epoka II" np. dzieli się na cztery „okresy": I) „Budzenie się żywiołu świeckiego — świt humanizmu (1400—1505)"; II) „Rozkwit humanizmu — reformacya (1505—1625)"; III) „Czasy reakcyi katolickiej i swawola polityczna (1625—1740)"; IV) „Czas reform politycznych i idei wieku oświeconego."

Data, oddzielająca okres II od III-go („r. 1625"), jest w stosunku do swego tytułu najzupełniej błędna. Zawiązek reakcyi katolickiej przypada na ostatnie lata panowania Zygmunta Augusta. W r. 1573 wisi już ona, niby chmura groźna, ponad głowami wodzów „konfederacyi warszawskiej," a otwarcie akademii jezickiej w Wilnie (r. 1579), może być poczytane za uroczystą inauguracyę i pierwszy tryumf tego prądu.

Doba Zygmunta III i Piotra Skargi (zm. 1612), moment „unii brzeskiej" (1595) i rokoszu Zebrzydowskiego (1606—1607), to nie „początki," lecz bujny rozwój reakcyi, której współczesnymi przedstawicielami w piśmiennictwie są, oprócz „Złotoustego," dwaj popularni rymotwórcy: Miaskowski (zm. 1622) i Grochwski (zm. 1612). Antonowi szło tu widocznie o zachowanie granicy t. zw. „Wieku Złotego"; ale pocóż, wbrew zasadzie naukowej, zamaskował swą myśl niewłaściwymi terminami?

(C. d. n.).

Antoni Gustaw Bem.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEMYSŁ DROBNY.

I.

Zasadniczą cechą nowoczesnych stosunków narodowo - gospodarczych jest przewaga w walce konkurencyjnej kapitału wielkiego nad drobnym. Wielkie przedsiębiorstwa są w stanie zastosowywać w wyższym stopniu podział pracy, maszyny więcej złożone, motory silniejsze — a siła mechaniczna tem jest tańszą, im większy ją motor dostarcza; posiadają one większy kredyt i na lepszych warunkach, kupują taniej materyały produkcyi, a co najważniejsza, mają olbrzymią przewagę handlową. Agenci handlowi, reklama, udział w wystawach przemysłowych, posiadanie wielkich i wystawnych sklepów i magazynów, możność chwilowego zadawalania się mniejszymi zyskami, większa stąd płynąca siła odporna przeciwko wrogim konjunkturom handlowym — oto czynniki, zapewniające niezliczone korzyści wielkim przedsiębiorstwom na rynku towarowym. Zresztą, gdy drobny przemysł wogóle *musi* podlegać tylko, niezależnie od niego odbywającym się, zmianom narodowo - gospodarczym, stosując się jedynie do nich, wielko-kapitalistyczny przemysł sam dowolnie zmianami temi w znacznym stopniu kierować może. W fabrykach nowoczesnych pracują dziesiątki chemików, inżenierów, technologów nad udoskonaleniem metod produkcyi znanych już dóbr gospodarczych, nad wynalezieniem nowych środków zaspakajania naszych potrzeb. W ten sposób wielki przemysł wytwarza zmiany zapotrzebowania, oczywiście zmiany dlań korzystne. Emaliowane naczynia metalowe usuwają wyroby kotlarskie, bednarskie i garncarskie, kalosze gumowe zmniejszają zapotrzebowanie na obówie. Drobny przemysł na tem traci, wielki zyskuje i on to właśnie zmiany te w zapotrzebowaniu świadomie przeprowadził. I nietylko przez wynalazki techniczne wielki kapitał wpływa na kierunek zapotrzebowania. Wystawami, reklamą reguluje on modę. Tak zwany dziś styl „modernistyczny" w przemyśle meblowym, unikający

ozdób rzeźbionych, jak gdyby specyalnie został dla wielkiej produkcyi stworzonym, dając o wiele większe pole działania maszynie. To też wielkie przedsiębiorstwa propagują go gorliwie. Przytem, dzięki właśnie swej sile kapitału, mogą one o wiele łatwiej, niż przemysł drobny stosować się do wszelkich życzeń i żądań spożywców, a raczej z góry je urządzać. Coraz więcej rozpowszechnia się dziś, szczególnie w kołach zamożniejszych, zwyczaj zamawiania całkowitych wypraw w jednym magazynie, całego urządzenia mieszkania: mebli wraz z dywanami, draperyami, rzeźbami, lampami itd., u jednego tylko stolarza, zwyczaj oddawania zupełnej budowy domów przedsiębiorcy budowlanemu itd. Metoda ta o wiele jest korzystniejsza dla spożywcy, gwarantuje bowiem jednolity, harmonijny charakter całej dostawy, oszczędza mu kłopotu i zazwyczaj chroni go od strat pieniężnych, z nieznajomości towaru wynikających (szczególnie przy budowlach). Atoli nie wskutek nalegania spożywców w odnośnym zakresie powstały przedsiębiorstwa budowlane, fabryki mebli itd., lecz odwrotnie, zwyczaj podobnego zaopatrywania się w towary wytworzył się dzięki wielkim przedsiębiorstwom.

W warunkach takich koniecznem jest zwycięstwo wielkiego kapitalistycznego przemysłu w konkurencyjnej jego walce z rzemiosłem. A jednak aż 100 lat już trwa ta walka, rzemiosło nie zanika i wciąż jeszcze zatrudnia niemal połowę rąk roboczych, pracujących w przemyśle. Przemysł wielki wzrasta coraz szybciej, punkt ciężkości produkcyi narodowej przenosi się coraz wyraźniej do przemysłu wielkiego; on nadaje dziś ton życiu przemysłowemu krajów kulturalnych; obok wielkiego przemysłu istnieje jednak i drobny, nie mniej dziś silny, niż przed laty. Co więcej, pod panowaniem gospodarki towarowej, kapitalistycznej rzemiosło wzrosło nietylko absolutnie, lecz i w stosunku do ludności.

Na 1,000 mieszkańców przypadało w Prusach: w r. 1816 majstrów 24, rzemieślników wogóle 38; w 1834 — majstrów 26, rzemieślników 42; w 1846—majstrów 28,3, rzemieślników 52; w 1861—majstrów 28,9, rzemieślników 59; w r. 1895 — drobnych przedsiębiorstw przemysłowych 54, rzemieślników wogóle 68.

W 1895 r. liczono w Niemczech:

Rozmiar przedsiębiorstwa:	Przedsiębiorstw:		Osób zatrudnionych:	
bez robotników i motorów	1,257,349	62,0%	1,237,349	39,9%
z 1—5 osobami	752,223		1,953,776	
z 6—10 „	77,876	6,5%	572,482	[illegible]
z 11—50 osob.	61,583		1,320,567	
z 51—200 osobami	14.726		1,362,805	
z 201—1,000 „	2,967	0,9%	1.114,238	36,3%
powyżej 1,000 os.	248		430,296	

W Szwajcaryi przypadało w r. 1888 na 100 zatrudnionych w przemyśle osób 61 rzemieślników, a 29 pracujących w fabrykach.

W Danii liczono w 1897 r. 42,552 przedsiębiorstw bez robotników i 34,697 przedsiębiorstw z 176,608 robotników; wśród tych ostatnich było:

z 1—5 osobami	84,3%	zatrudn. w nich osób	58,284
z 6—10 osob.	8,2%	„ „ „	21,073
z 11—20 osob.	4,0%	„ „ „	19,949
z 21—50 osob.	2,3%	„ „ „	24,662
z 51—100 osob.	0,7%	„ „ „	18,402
powyżej 100 os.	0,5%	„ „ „	34,241

We Francyi przypada w przemyśle na milion samodzielnych 3,3 miliony robotników; w Austryi na 600,000 samodzielnych — 2¼ miliony robotników. Co najmniej więc połowa ludności przemysłowej tych krajów zatrudniona jest w drobnych (1—5 osób) przedsiębiorstwach. Nawet w Anglii, w tej fabryce narodów, drobny przemysł bynajmniej jeszcze nie zanikł. Wedle obliczenia Bernsteina, w wielkim przemyśle pracuje 3½—4 miliony osób, gdy w drobnym (1—5) i średnim (6—50) przeszło 5 milionów.

Jakże pogodzić fakty powyższe z niemniej pewnym faktem niezaprzeczonej przewagi konkurencyjnej wielkiego przemysłu nad drobnym?

Przyczyna tej pozornej sprzeczności leży nie w samych faktach, lecz tylko w ideach naszych, z góry powziętych, z któremi do badania faktów tych przystępujemy. Utartym jest dziś ogólnikiem frazes, iż w obecnym ustroju gospodarczym panuje nieubłagana walka konkurencyjna wszystkich ze wszystkimi. A przecież to tylko paradoks dowcipny! Nie widzimy wcale, by szewc konkurował z krawcem, krawiec z blacharzem, blacharz z piekarzem. Czemuż ma więc koniecznie fabrykant z rzemieślnikiem konkurować? By twierdzenie to udowodnić, należałoby naprzód wykazać, że i jeden i drugi wytwarzają zazwyczaj te same przedmioty i dla tych samych spożywców. W rzeczywistości dzieje się wprost odwrotnie. Z 2,907,329 osób zatrudnionych w wielkim przemyśle, przeszło 2,100,000 osób pracuje w gałęziach przemysłu, w których rzemiosło nigdy silniej nie było rozwinięte, ale które dopiero w najnowszych czasach powstały (cukrownie, górnictwo i hutnictwo, fabryki maszyn parowych, cementu i betonu, materyałów wybuchowych, przedsiębiorstwa tramwajowe, wyrób broni palnej, porcelany i fajansu, maszyn do szycia, huty szklane, wyroby przedmiotów z gumy i gutaperki, konstrukcye żelazne, budowa okrętów, fabryki chemiczne, produkcya aparatów elektrotechnicznych, odlewnie żelaza, fabryki wozów i bicykli, tapet, papy, maszyn i aparatów, lamp, wyrobów gipsowych, aliaży z metali, szlifiernie drzewa, fabryki gazu, maszyn rolniczych, fortepianów, farbiarnie, fabryki preparatów chemicznych, konserw, środków spożywczych dla zwierząt), koło 500,000 w gałęziach przemysłu, w których niegdyś kwitło rzemiosło; od kilkudziesięciu już lat wszakże przeważa produkcya wielka (przemysł tkacki i przędzalniczy, kapelusznictwo, garbarstwo, blacharstwo, wyrób śrub, gwoździ i łańcuchów, przedsiębiorstwa budowlane), a niecałe 300,000 tylko pracuje w gałęziach, w których również i przemysł drobny jest silnie rozwinięty.

Drugim utartym frazesem jest zdanie, iż przemysł wielki coraz szybciej rozwijając się, tem samem musi usuwać rzemiosło z zajmowanych przez nie stanowisk. Zdanie to byłoby słuszne, gdyby rynek zbytu był stałą jakąś, niezmienną wielkością, gdyby konsument nie był równocześnie producentem i odwrotnie. Że jednak spożywca o tyle tylko jest nim, o ile albo sam wytwarza, albo na produkcyę innych prawo posiada, więc też każdy wzrost produkcyi oznacza jednocześnie i wzrost siły konsumcyjnej narodu. Każda nowo założona fabryka nietylko zwiększa wytwórczość narodową, lecz jednocześnie rozszerza rynek zbytu. Z założenia tego wychodząc, ekonomja manchesterska dowodziła niemożliwości nadprodukcyi w przemyśle; wszelkie kryzysy i stagnacye przemysłowe mają, wedle niej, źródło swe wyłącznie w zaburzeniach rynku pieniężnego. Bliższa analiza zjawisk odnośnych wykazała dowodnie całą dowolność podobnego ich tłomaczenia. Większość kryzysów nie stoi w żadnym związku z wahaniami na rynku pieniężnym. Przyczyną ich może być jedynie nadprodukcya — oczywiście nie absolutna, gdyż niema dziś takiej potrzeby gospodarczej, któraby w zupełności już była zaspokojoną (masy ludowe niedostatecznie się odżywijają, odziewają, mieszkają itd.), lecz względnie do siły płatniczej najszerszych warstw narodu. Gdyby każdy wytwórca był właścicielem całego produktu swej pracy, stagnacya i kryzysy byłyby niemożliwe; wzrastowi produkcyi towarzyszyłby wciąż takiż sam wzrost spożycia. Niestety, tak nie jest. Przeważna część dochodu narodowego ogniskuje się w niewielkiej tylko ilości rąk i zużywaną jest przedewszystkiem nie dla celów spożycia, jeno produkcyi. Że jednak „oszczędność" ta dokonywa się kosztem zmniejszonego zapotrzebowania warstw ludowych na przedmioty spożycia masowego, więc po pewnym czasie kapitalizowane w ten sposób sumy nie znajdują produkcyjnego zastosowania na rynku wewnętrznym. Wywożone są wtedy za granicę, do krajów mniej przemysłowych. Zwiększając bogactwo tych ostatnich, stracone bywają jednak dla rynku wewnętrznego własnego ich kraju. Produkcya więc szybciej od tego ostatniego wzrasta. Rozwój produkcyi wielkiej, popierając ulepszenia techniczne, obniża ceny przedmiotów, a jednocześnie zwiększa i zapotrzebowania na nie, wprowadzając produkcyę na wywóz za granicę — rozszerza rynek zbytu na produkty przemysłu krajowego, zacieśniając zakres gospodarki domowej — podnosi zapotrzebowanie na przemysł wytworny, wreszcie różniczkując nieustannie działalność przemysłową narodu *), tem samem zmniejsza zakres walki konkurencyjnej. Wskutek działania tych czynników rynek wewnętrzny Niemiec od r. 1830—1870 wzrastał szybciej nawet od produkcyi. Obok przemysłu wielkiego rozwijały się rzemiosła coraz potężniej. Od pewnego czasu wszakże w krajach Europy zachodniej daje się wyraźnie zauważyć stałe przeładowanie rynku towarowego. Napięcie walki konkurencyjnej wzrasta. Lecz wzrasta ono powoli. Przewyżka bowiem produkcyi nad spożyciem narodowem równa się zawsze tylko nieznacznemu ułamkowi tej pierwszej. Albowiem jakkolwiek siła płatnicza rynku wewnętrznego mniej się od produkcyi zwiększa, to jednak zwiększa się wciąż wraz z ogólnym dobrobytem. Klasy o najniższym dochodzie odpowiadają coraz mniejszym cząsteczkom ludności.

W Saksonii było na 100 osób:

z dochodem rocz.:		w r. 1879:	w r. 1894:
poniżej 300 m.		[illegible]	5,61
300— 800	mar.	[illegible]	59,69
800— 950	„	5,27	8,96
950— 1100	„	3,66	5.83
1100— 1250	„	2,59	4,02
1250— 1400	„	1,64	2,50
1440— 1900	„	[illegible]	5,30
1900 — 2800	„	[illegible]	3,76
2800 — 4800	„	[illegible]	3,10
4800— 9600	„	1,00	1,52
9600—26000	„	1,38	0.59
26000—54000	„	0,05	0,12
powyż 54,000	„	0,02	0,06

Gdyby więc nawet wielki przemysł kapitalistyczny rozwijał się na ogół w tych samych gałęziach produkcyi, co i rzemiosło, to i wtedy usuwałby on ten ostatni mimo swej wielkiej przewagi konkurencyjnej stosunkowo powoli. Jak to już wszakże powiedziałem, bardzo nieznaczna tylko część wielkich przedsiębiorstw znajduje się w bezpośredniej walce konkurencyjnej z przemysłem drobnym. Więc choć w odnośnych gałęziach przemysłu rzemiosło upada, to jednak zyskuje tyle na innych punktach wskutek ogólnego wzrostu dobrobytu narodowego rozszerzania się rynku wewnętrznego i tanienia materyału produkcyi, że na ogół nie upada, lecz wzrasta. Sprzeczność między towarowym, kapitalistycznym ustrojem gospodarczym a przemysłem drobnym, w rzeczywistości, zdaje się, nie istnieje wcale. Z dzisiejszym ustrojem ekonomicznym nie da się pogodzić jedynie średniowieczna forma rzemiosła, lecz nie rzemiosło same. Rzemieślnik średniowieczny był tylko wytwórcą, za pewną opłatą wykonywającym określone czynności. Różnił się on od robotnika tem, iż był właścicielem narzę-

*) W r. 1882 statystyka przemysłowa Niemiec liczyła 6,495 gałęzi przemysłu, w 1895 — 7,793.

-dzi produkcyi, że pracował we własnym warsztacie, że posiadał więc pewien kapitał, lecz kapitał jedynie produkcyjny — bynajmniej nie handlowy. Wytwarzał on, a raczej spełniał odnośne funkcye produkcyjne — gdyż rzadko kiedy jeden rzemieślnik cały przedmiot wykonywał — na zamówienie, bezpośrednio dla spożywcy, a nie dla rynku, najczęściej z materyału, mu dostarczonego. Krawiec robił ubrania na obstalunek, lecz kto zamawiał ubranie ten musiał i sukna dostarczyć, siodlarz sporządzał siodła, pokrywał meble; skóry musiał dostarczyć spożywca, tak samo pracował stolarz, murarz, tkacz itd. A jeśli nawet w owych czasach rzemieślnik dostarczał sam materyału, jak np. szewc, to był on tu tylko pośrednikiem między swym klientem a garbarzem. Przy obliczeniu ceny obuwia osobno obliczało się wynagrodzenie szewcowi za uszycie przypadające, a osobno wyłożona przezeń suma na zakup materyału, którą spożywca mu zwracał. Tradycyjna ta forma rzemiosła zachowała się do pewnego stopnia jeszcze w konserwatywniejszym na ogół świecie kobiecym. Panie same kupują materyał, zanoszą go do szwaczki, a ta ostatnia w rachunku osobno podaje koszt „dodatków“ a osobno liczy sobie za „fason.“ Jest to czysta fikcya. Pod rubryką „dodatków,“ umieszczony jest właściwie cały procent od kapitału, włożonego w przedsiębiorstwo.

Podobny stan rzeczy mógł się tylko tak długo utrzymać, póki rynek był czysto lokalnym, a ceny przedmiotów na nim stałe. Gdy powstał rynek narodowy i wszechświatowy, gdy każdy towar, a więc i materyał surowy i półfabrykat, począł silnie różnić się w cenie, zależnie od tego, gdzie, od kogo, w jakim czasie i w jakiej ilości go się kupuje, dochód rzemieślnika zawisł w znacznym bardzo stopniu od zysku handlowego, jaki przy dostarczaniu materyałów produkcyi może on uzyskać. Rzemieślnik stał się nietylko wytwórcą, lecz i kupcem, producentem towaru dla rynku. Nawet wtedy, gdy pracuje on na zamówienie, pracuje dziś dla rynku, gdyż spożywca nie wynagradza go za ilość pracy i nie zwraca mu wyłożonego kapitału, lecz płaci mu rynkową cenę towaru. Dzisiejszy rzemieślnik wytwarza towary na równi z przedsiębiorcą wielkokapitalistycznym. Ta jednak między nimi zachodzi różnica, że gdy ostatni jest przedewszystkiem kupcem, właścicielem kapitału handlowego, który dla obiegu umieszcza w przedsiębiorstwie przemysłowem i stara się jedynie o jak najtańszy zakup środków produkcyi (maszyn, narzędzi, materyałów i siły roboczej), a jak najdroższe sprzedanie ich w formie gotowego towaru, drugi jest przedewszystkiem wytwórcą, szukającym zarobku w wykonywaniu pewnych funkcyj wytwórczych, wykonywa je dziś wszakże, w przeciwieństwie do rzemieślnika średniowiecznego, dla rynku. Jakkolwiek tedy przemysłowiec drobny, jak i przed wiekami, żyje dziś przedewszystkiem z zarobku swej pracy, to jednak będąc wytwórcą towaru, musi w każdym razie rozporządzać dostatecznym kapitałem, aby nie być w zupełności wystawionym na łaskę i niełaskę konjunktur handlowych. Typ rzemieślnika, nieposiadającego prócz warsztatu i narzędzi, żadnego więcej kapitału, ginie dziś bezpowrotnie. W r. 1882 liczono w Niemczech 1,430,465 majstrów pracujących bez robotników i motorów, w 1995—1,237,349. Natomiast ilość przedsiębiorstw rzemieślniczych, zatrudniających więcej, niż jedną osobę, wzrosła w tymże czasie. W r. 1882 było w Niemczech 745,392 przedsiębiorstwa drobne powyż. kategoryi z 1,839,939 osobami; w 1895 — 752,223 przedsiębiorstwa z 1,953,773 osobami.

Dr. Stanisław Grabski.

ROZPORZĄDZENIA URZĘDOWE.

Rozkaz do wojsk warszaw. okręgu wojskowego, nr. 149, z d. 29 lipca (11 sierpnia) 1900 r.

Mieszczanin z Częstochowy, Konrad Stanisław syn Franciszka Jeziorański, włościanie: z gub. Kieleckiej — Aleksander syn Józefa Mrózik, z gub. Piotrkowskiej— Józef Władysław syn Wincentego Krawczyk, Stanisław syn Jana Gliński, z gub. Kieleckiej — Andrzej syn Franciszka Rutkowski i z gub. Piotrkowskiej— Józef syn Jana Karcz, na mocy dokonanego co do nich śledztwa pierwiastkowego i osobnego badania, oskarżeni są o to, że będąc członkami tajnej polskiej partyi socyalistycznej, mającej za cel główny zburzyć drogą przemocy istniejący w Rosyi ustrój państwowy i dowiedziawszy się, że maszynista kopalni „Fanny,“ Jan Mazur, chce donieść władzom rządowym o istnieniu kółka socyalistów w pomienionej kopalni, żeby temu zapobiedz, Jeziorowski i Mrózik powzięli myśl pozbawienia go życia i do wykonania swego zamiaru namówili Krawczyka, Glińskiego, Rutkowskiego i Karcza, którzy wiedząc o pobudce do zabicia Mazura, zgodzili się wprowadzić w czyn zamiar Jeziorańskiego i Mrózika i w tym celu wieczorem d. 4 listopada 1899 r. we wsi Sielce, w pow. Będzińskim, g. Piotrkowskiej, na kolejce podjazdowej z kopalni „Ludwik,“ uzbroiwszy się: Krawczyk i Rutkowski w noże, Gliński zaś i Karcz— w kije, napadli na Jana Mazura i temi narzędziami tudzież długą wązką deską, którą miał Mazur, umyślnie zadali mu, w celu pozbawienia go życia, dwie rany w głowę, połączone ze zdruzgotaniem czaszki, i 15 ran nożami, tak że od obrażeń tych Mazur w pół godziny potem umarł. Czyn ten przewidziany jest w art. 13 kodeksu karnego i popr., wyd. 1885, a na mocy art. 31 ustawy o środkach ochrony porządku państwowego i spokoju społecznego w art. 279 ks. XXII zb. post. woj. 1869 r., wyd. 2-gie.

Za czyn pomieniony mieszczanin Konrad Jeziorowski. włościanie: Aleksander Mrózik, Józef Krawczyk, Stanisław Gliński, Andrzej Rutkowski i Józef Karcz, na mocy wspomnianego wyżej art. 31 ustawy o środkach ochrony porządku państwowego, oddani są pod sąd wojenny okręgu warszawskiego do sądzenia według praw, obowiązujących w czasie wojny.

Oryginał podpisał: Dowódca wojsk, generał adjutant *książę Imeretinski.*

(Warsz. Dniew.).

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Pocztowe kasy oszczędności we Włoszech wykazują depozytów 649 milionów lirów na $3^3/_4$ miliona książeczek. Ogółem zaś oszczędności narodowe nagromadzone w kasach oszczędności zwyczajnych, pocztowych itd. wynoszą 2,700 milionów (w r. 1879 tylko 693 mil.).

— Ze sprawozdania ministra handlu we Francyi (*Journal officiel* z 13 maja) czerpiemy następujące dane o ruchu oszczędnościowym we Francyi za rok 1898. Wkłady wynosiły 4,275 milionów franków, co wobec blizko 10 milionów książeczek daje na osobę 429 franków. Najwięcej było drobnych wkładów (do 20 franków) a mianowicie $3^1/_3$ mil. (33%). W ostatnim roku przybyło 903 tysiące oszczędzających. Według zawodów dzielą się oni na przedsiębiorców (7%), robotników wiejskich (11%), rob. przemysłowych (14%), służących (13%), rentierów (13%), nieletnich (30%), koczowników algierskich ($^1/_{10}$%). Pod względem płci w niektórych zawodach przeważają kobiety.

— Na jednej z wysp finlandzkich, Kousari, założony zostanie wkrótce zakład leczniczy dla alkoholików. Na wyspie tej znajduje się las, grunta orne. Pacyenci będą pracować i leczyć się w tej kolonii pod opieką doktora Olderohde.

— W Połtawie stowarzyszenie adwokatów przysięgłych wykreśliło ze swej listy jednego z kolegów z powodu, iż ojciec jego rozsyłał do swych znajomych listy, w których, zawiadamiając o tem, iż syn jego został adwokatem przysięgłym, polecał go względom swych znajomych.

Szkoły. W tutejszym zarządzie dóbr Państwa podjęty został projekt założenia niższej szkoły leśniczej w lasach rządowych gubernii Suwalskiej, pod Augustowem. Projektowana szkoła ma być wzorowana na szkole egzystującej w Drewnicy, pod Warszawą, a na założenie i prowadzenie wyjednany ma być potrzebny kredyt skarbowy.

Biblioteki ludowe. Pierwsza czytelnia publiczna w Sztokholmie ogłosiła pierwsze swoje sprawozdanie (1898/9). Założona 11 listopada 1898 r., w przeciągu $13^1/_2$ miesiąca istnienia liczyła 9,543 czytelników (w tej liczbie 3,168 chłopców i dziewcząt). Biblioteka liczy 1,500 tomów.

— Założona przez niemieckie Tow. kultury etycznej biblioteka publiczna w Ulm rozwija się coraz lepiej. W ostatnim roku sprawozdawczym miasto podniosło zasiłek z 300 na 500 marek. Dzieł wypożyczono w ostatnim roku sprawozdawczym 7,832 (w tej liczbie naukowych 1,286, czasopism 2,072).

Nauka. Słynny etnolog i podróżnik niemiecki Adolf Bastian obchodził 50-letni jubileusz swego doktoratu

Prasa. Szowinistyczny dziennik berliński, *Tägliche Rundschau*, zmienił właściciela. Nabywcą został Instytut bibliograficzny Mayera w Lipsku. Cena — 800 tysięcy marek!

Wystawy i zjazdy We wrześniu (25—29) odbędzie się w Paryżu IV zjazd międzynarodowy socyologów. Dyskusya obejmie przedewszystkiem debaty nad kwestyą materyalizmu ekonomicznego po za tem ogłoszono już 4 tematy: mechanika społeczna (Laster Ward), rodzina sztuczna (de la Grasserie), związki przemysłowe (Jaffe), dobór naturalny (Decugis).

Zapis Zmarły w dniu 24 lipca r. b. Józef hrabia Skarbek, właściciel dóbr Osięciny w gub. Warszawskiej, testamentem własnoręcznym uczynił z tych dóbr swoich fundacyę dobroczynną, która funkcyonować zacznie po śmierci małżonki zmarłego, Karoliny z Popławskich hr. Skarbkowej, będącej dożywotnią użytkowniczką całego majątku, Dochód z fundacyi, obliczony na 3,080 rb. rocznie, przeznaczył zapisodawca, jak następuje: 180 rb. rocznie na rzecz dozoru kościelnego w Osięcinach, 550 rb. rocznie na rzecz zakładów dobroczynnych w Osięcinach, 350 rb. na rzecz gminy Osięciny. 1,400 rb. na pomoce naukowe dla kształcącej się młodzieży, 600 rb. na rzecz instytucyj dobroczynnych w Warszawie. Gdyby fundacya w tej formie nie mogła przyjść do skutku, wówczas dobra mają być sprzedane, a uzyskana ze sprzedaży gotówka, rozdzieloną w sposób następujący. na rzecz dozoru kościelnego w Osięcinach 8,000 rb., na rzecz zakładów dobroczynnych w Osięcinach 24.000 rb., na rzecz gminy Osięciny 14,000 rb., na pomoce naukowe 28,000 rb., na instytucye dobroczynne w Warszawie 18,000 rb. Sprawami fundacyi zawiadywać ma rada nadzorcza z kuratorem na czele. Testament ś. p. J. hr. Skarbka powołuje na stanowisko pierwszego kuratora fundacyi p. Jana Pawła Łuszczewskiego, na zastępcę zaś p. Antoniego Marylskiego (Łuszczewskiego); do rady nadzorczej natomiast wola zapisodawcy powołaje pp.: Adama Popławskiego, Jana Nepomucena Łuszczewskiego, Karola Gostomskiego i Teodora Górskiego.

Zmarli. Józef Szlagy, były prezes ministrów, prezydent izby deputowanych i izby magnatów węgierskich, wybitny działacz polityczny, zasłużony w walce o samodzielność Węgrów, ur. 1818, zm. 8 sierpnia.

— Ary Renan, syn słynnego filozofa, malarz i poeta w Paryżu.

— Henryk Lasserre, autor „Histoire de notre Dame des Lourdes“ i życiorysu Bernadotty z Lourdes, przełożonego na 43 różne języki.

— Juliusz Zeller, zasłużony historyk francuski, następca Duruy w Szkole politechnicznej, autor „Dziejów III Republiki“ (1897 i nn.). Zm. w Paryżu w 81 roku życia.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Августа 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.